



Fot. W. Biliński

Felieton sceptyka

## PYSKÓWKA z powodu PYSKÓWEK

Czy kamyczek wrzucony do cudzego ogródka może wywołać lawinę? Zaprawdę powiadam Wam, że wbrew wszelkim prawom geofizyki — może.

Kamyczkiem było to, że dzieci weszły na grządki do ogródka. Jego współwłaścicielka, pani Janina B. przegoniła „smarkaczy”. Pani Cecylia P., matka w ten sposób obrażonych dzieci, poczuła się również obrażona. Postanowiła wziąć odwet. Oczywiście również przez obrażenie. Obrażenie, jakiego dokonała, było totalne. Dotyczyło sąsiadki z ogródkiem i czterech artykułów kodeksu karnego (najście domu, obraza godności, zniesławienie, naruszenie nietykalności cielesnej).

Awanturę dzielnicy zapodał do kolegium. Winną zakłócenia spokoju publicznego uznano w pierwszej instancji p. Janinę B. i jej wymierzono grzywnę. Ukarana się odwołała. Wobec tego kolegium odwoławcze musiało się zebrać. Rozpatrzyć sprawę odesłano ją z powrotem do pierwszej instancji. I tak trzy razy. W końcu obwiniona, uniewinniona i ukarana pośliznęła się w Wydziale Nadzoru Ogólnego Prokuratury Wojewódzkiej. Tam decyzję kolegium odwoławczego zaskarżył dopatrując się okoliczności wprost przeciwnych niż wszystkie kolegia. Sprawa będzie rozpatrywana w kolegium odwoławczym po raz czwarty, a w ogóle po raz szósty. Niezależnie od wszystkich przed Sądem Powiatowym toczy się sprawa karna z oskarżenia prywatnego pani Janiny B. przeciwko pani Cecylii P. o obrażenie owych czterech artykułów KK.

Piramidalna pyskówka. Lawina straconego czasu, papieru, energii. I szarpanina ludzkich nerwów.

W roku ubiegłym w Łodzi kilkanaście tysięcy razy ktoś kogoś nachodził, obrażał, zniesławiał, tłukł, szedł psem, ktoś komuś zakłócał spokój, spocznęk, wytywał na głowę

Dalszy ciąg  
na str. 12

# odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok V. ŁÓDŹ, 14. X. 62 r.

Nr 41 (241)

Cena 1 zł



WŁODZIMIERZ KWASKOWSKI — jako Sarka Farka w „Igraszkach z Diabłem”.

Fot.: G. Puciato

KRZYSZTOF POGORZELEC

## PSYCHOLOG

ZA

# FABRYCZNĄ BRAMĄ

Wezoraj, w fabryce X wydarzył się tragiczny w skutkach wypadek. Z powodu nieumiejętnego panowania nad urządzeniami dźwigowymi nastąpiła awaria, w wyniku której dwóch robotników poniosło śmierć na miejscu.

Tak brzmiał tekst komunikatu kwitującego wypadek, który zdarzył się w fabryce X. Jest on autentyczny

choć nie odnosi się ani do wydarzeń, które miały miejsce w Widozskich Zakładach Włókien Sztucznych, ani też w Zakładach Tkanin i Dywanów im. T. Ajzena w Łodzi. Ot, po prostu jeden z tych wypadków tragicznych w skutkach, które składają się na ową liczbę 169 tysięcy ofiar — mniej lub więcej poważnych katastrof czy kolizji człowieka z maszyną, jakie zachodzą codziennie w zakładach całego kraju. Sprawa jest więc niebagatelna, bardzo złożona i jak słusznie zauważył w swoim felietonie „odgło-

sowy” Sceptyk nie można jej tylko sprowadzić do prostego związku przyczynowo-skutkowego, w którym poszczególne ogniwami są nieumiejętności ludzkie, brak odpowiednich funduszy na prace związane z podniesieniem bezpieczeństwa i higieny, brak tego „kogoś”, kto by się zainteresował i wykonał proste nieraz zadania budowlane czy zabezpieczające.

Nie jestem skłonny również wierzyć tym, którzy twierdzą, że — jak pisał znowu Sceptyk — w chwili obecnej należy dojść do

wniosku, że wypadki przy pracy powstają z winy samych poszkodowanych, albo z przyczyn od nikogo niezależnych. Sceptyk wyśmiewa to stanowisko, chociaż pozornie wydaje się ono logiczne. Czy jest jednak uzasadnione, czy rzeczywiście nie ma winnych, a obecny stan rzeczy, który dla wielu pachnie grozą, jest wywołany jakąś „przyczyną niezależną”, słowem — palcem bożym?

...

Do fabryki X zgłosił się człowiek. Szukał pracy. A-

kurat wakowało stanowisko przy urządzeniu dźwigowym. Znalazły się nawet możliwości przyspieszonej nauki tego zawodu. Krótki kurs i człowiek stanął przy suwnicy.

Początkowo wszystko było w największym porządku, ale nadszedł feralny dzień. Chodziło o wykonanie jakiegoś specjalnie trudnego zadania, w fabryce „ratowano” plan. Hale produkcyjne opłanyła gorączka. Wszyscy byli podnieceni, zde nerwowani. I wtedy właśnie to się stało. Nieopatrzny ruch ręką i urządzenie suwnicowe źle pokierowane runęło przynajmniej nad sobą dwóch robotników.

Inny fakt, również z naszego łódzkiego podwórka. Znowu wielki zakład, który ma pierwszorzędne znaczenie nie tylko dla przemysłu, ale również decydujące o sprawnym funkcjonowaniu życia dużego kompleksu obiektów komunalnych, socjalnych. Przy urządzeniu kontrolnym pewnego dnia stanął człowiek. Strzałka manometru zaczęła się powoli przesuwac w górę. Groźba eksplozji była już tuż... Obsługujący nie reagował. Przypadkowa wizyta jednego z techników zapobiegła nieobliczalnej w skutkach katastrofie. Eksplozji nie było. Przeprowadzone później śledztwo wykazało, że człowiek ten nie reagował na określone kolo-

ry, nie rozróżniał np. barwy czerwonej, którą zwykle oznacza się u nas granicę bezpieczeństwa. Był daltonistą.

...

Nie tak dawno w jednym z warszawskich tygodników znalazłem wypowiedź znanego ekonomisty prof. dr Edwarda Lipińskiego, który zajął się tym razem problemami naszego rozwoju gospodarczego. Stwierdził on mianowicie — co dla wielu może być zaskakującą tezą — że Polska przez skoczyła już pewną barierę, dorobiła się określonego i dodajmy — dużego potencjału w postaci fabryk, urządzeń czy mechanizmów i w tej chwili — zdaniem tego wybitnego naukowca — kto wie czy nie jest ważniejsze odpowiednie przygotowanie ludzi, aniżeli też dalsze rozbudowywanie przemysłu. Prof. Lipiński stwierdził mianowicie, że człowiek nie przygotowany nie jest w stanie „wycisnąć” wszystkiego z obsługiwanych przez siebie urzą-

Dalszy ciąg  
na str. 6

Dnia 3 października br. zmarł Grzegorz Timofiejew — poeta, publicysta i działacz kulturalny. Urodzony w 1908 roku w Łodzi, tu tworzył, tu działał publicznie, tu spędził całe swoje życie. Jego życiorys obejmuje sporo lat historii tego miasta, największego środowiska robotniczego w naszym kraju, w niezwykle ciekawym okresie najgwałtowniejszych przemian społecznych i kulturalnych. Jego twórcza działalność odzwierciedla ten okres w dziedzinie tworzenia się trwałych podstaw tak swojsie charakterystycznych, choć jak dotychczas bardzo wątków i wciąż się rżących, tradycji kulturalnych, a zwłaszcza literackich, tego środowiska.

Przemiana przedwojennej Łodzi kapitalistycznej w powojenną Łódź socjalistyczną znalazła ciekawą ilustrację w działalności publicznej zmarłego poety tak różnej w swoich formach literackiej wyrazu. Pisał nie tylko wiersze i artykuły literackie — publicystyczne ale także wspólnie z innymi organizował prasę, ażeby móc te wiersze i artykuły drukować. Łódź przedwojenna w porównaniu z dzisiejszą to nieomal pustynia kulturalna. Można tu było ukończyć szkołę średnią, ale na kontynuację dalszych studiów wyższego zakładu naukowego nie było. Toteż zrozumiał był proces naturalnego odpływu z Łodzi co zdolniejszych i ambitniejszych indywidualności twórczych.

Grzegorz Timofiejew ukończył Męskie Gimnazjum Miejskie w Ło-

dzi, ale tytuł magistra musiał zdobywać na Uniwersytecie Warszawskim. Studiując w Warszawie, nie zapomniał o Łodzi, uczestnicząc w organizowaniu pierwszej łódzkiej grupy poetyckiej i jej prasowego organu pt. „Meteor” w roku 1928. Ten rok trzeba uznać za początek zbiorowego ruchu literackiego w naszym mieście. Ważny to nowy element rodzący się dopiero tradycji kulturalnej tego miasta. Jeszcze jako student polonistyki wydaje Grzegorz Timofiejew swój pierwszy tomik wierszy w roku 1930 pt. „Nie ma mnie w domu”.

Po ukończeniu studiów w roku 1931 wraca do Łodzi i bierze udział w organizowaniu pierwszego znów na terenie naszego miasta Łódzkiego Klubu Literackiego, czegoś w rodzaju zawieszki dzisiejszego oddziału Związku Literatów Polskich. W tymże roku zostaje redaktorem odpowiedzialnym czasopisma tego Klubu pt. „Prądy” o kierunku wyraźnie lewicowym, ku któremu tymczasem ewoluowała politycznie grupa łódzkich poetów z byłego „Metora”. Z rozkazu ówczesnych władz bezpieczeństwa „Prądy” po czterech numerach w marcu 1932 roku przestały istnieć. Grzegorz Timofiejew współpracuje wtedy z robotniczą organizacją oświatową TUK, wygłasza odczyty, urządza występy autorskie, planuje po ranki i wieczory literackie. W roku 1935 wydaje drugi tom włas-

# GRZEGORZ TIMOFIEJEW



nych wierszy pt. „Inny horyzont”. Znamienity tytuł zbioru mówi o charakterystycznej zmianie nastrojów w jego pisarstwie poetyckim — z osobistego na społeczny.

Ten szeroki horyzont jego nowej postawy znalazł wyraz w powstałym tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej łódzkim miesięczniku literackim, którego został redaktorem naczelnym, pt. „Wymiary”. Wybuch wojny przerwał tę jego z wielkim rozmachem zaczęta działalność. Pierwsze lata okupacji spędził w Łodzi, wspólnie redagując różne tajne druki, wśród nich periodyk literacki pt. „Tyrtę”. Ogłosił także w roku 1942 pod pseudonimem Marcina Łoży tom konspiracyjnych wierszy pt. „Śpiew w podziemiach”. W tymże roku został aresztowany przez gestapo i wysłany do obozu w Gusen.

Po zakończeniu wojny wrócił do Łodzi. Wstąpił w szeregi PPS i redagował w jej tygodniku „Pobudka” dział literacki. W roku 1946 wydał tom wierszy konspiracyjnych i obozowych pt. „Wysoki płomień”. Rozpoczął ożywioną działalność w łódzkim oddziale Związku Literatów Polskich, w teatryku satyrycznym „Osa”, w Wydziale Kultury Rady Narodowej m. Łodzi. Miewał nadal liczne odczyty, referaty, występy autorskie, uczestnicząc w rozmaitych imprezach społecznych i kulturalnych. Pisał do miejscowej prasy, tłumaczył różne utwory z literatury rosyjskiej, wydawał ponownie swe przedwojenne przekłady nowel Lwa Tolstoja. W roku 1954 wydaje piątą z kolei tom wierszy pt. „W stronę jutra”. W roku 1958 wydaje „Wiersze dla dzieci”. W tymże roku wydaje szósty i — niestety — już ostatni tom wierszy lirycznych pt. „Gorycz wierzby”.

W ostatnich latach swego życia zaczął pisać prozę pa-

miętnikarską. Zamierzał ją na trzy tomy. W roku 1959 ukazał się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego tom pierwszy pt. „Miłość nie zna zmęczenia”. Jest to autobiografia potraktowana na szerokim tle dziejów Łodzi od urodzenia autora aż do tragicznego września. Ważny to dokument, zwłaszcza do dziejów dwudziestolecia literackiego w Łodzi. W następnym roku wyszedł drugi tom tej autobiografii z okresu okupacji pt. „Człowiek jest nagi” i nowy tom wierszy dla dzieci pt. „Zoo na zabawie”. W trakcie pisania trzeciego tomu wspomnień pt. „Trudna wolność”, traktującego o latach powojennych, zaskoczyła go śmierć. Kilka miesięcy przed śmiercią ukazały się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego jego „Wiersze wybrane”. Na tym zakończył się nagle bilans jego twórczości.

Ostatnie książki pisał już człowiek śmiertelnie chory. Od paru lat przebywał prawie stale w szpitalu. Korespondencja jego z ostatnich kilku miesięcy to świadectwo rozpaczliwej świadomości nieuchronnego końca, to wyraz dojmującego żalu z powodu niemożności zrealizowania wielu zamierzonych prac i pomysłów literackich, to wreszcie przerażająca troska o dalszy los nieletnich dzieci.

Jako poeta i jako działacz społeczno-kulturalny był w Łodzi lubiany i ceniony. W roku 1960 odznaczony został za całokształt swojej pracy publicystycznej i społecznej Orderem Krzyża Odrodzenia Polski, a w roku następnym za całokształt swojej pracy pisarskiej otrzymał nagrodę literacką Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi, a także Honorową Odznakę m. Łodzi. Dnia 6 października br. pochowany został na Cmentarzu Komunalnym w kwaterze dla zasłużonych.

MARIAN PIECHAŁ

## OSTATNIE LISTY (Fragmenty)

7. III. 62

Drogi Marianie! Leżę w szpitalu. Serce nie sprostało gwałtowności życia, a na małych obrotach żyć nie umiem.

Nie wiem, jak długo potrwa kuracja, ale nawet po wyjściu ze szpitala będę musiał polegiwać w domu. Dlatego proszę Ci bardzo, żeby Zarząd wystarał mi się o dłuższy zasiłek chorobowy... Przecież w moim wypadku nie można czekać 65 roku życia. O tym czasie już będziecie odnawiać napis na moim grobie.

Starożytni Egipcjanie mieli dobre pozdrowienie: Obyś żył wiecznie!

Twój Grzegorz

6. V. 62

Leżę w szpitalu prof. Jakubowskiego (Szterlinga 1/3). Zdrowie nie bardzo. Mam zaburzenia w krążeniu, trudności w oddychaniu.

Dziękuję Ci, Kochany, za starania w mojej sprawie. Czy tak ma być? Czy może inaczej?

Twój Grzegorz

12. VII. 62

Drogi Marianie! Dziękuję Ci za piękną kartkę z Rumunii i pozdrowienia. Ja siedzę dalej i uporczywie w Rudzie Pabianickiej w lasach. Najmilszy to teraz dla mnie zakątek, przypominający mi moją młodość: wielki staw, park, lasy, żyto, pole, łąki. Wszystkie powaby lata, choć nierówne ono.

Serdecznie Ci proszę — przyjedź na parę dni, w willi, w której mieszkam, jest gdzie przenoćować. Odetchniesz swobodą i wypoczynkiem...

Czuję się już lepiej, powoli wracam do sił, będziemy mogli odbywać krótkie przechadzki i miło spędzać czas.

Twój  
Grzegorz T.

4. VIII. 62

Drogi i Kochany Marianie! Kartkę Twoją otrzymałem. Dziękuję. I wystarczy mi Twoja pamięć o mnie. W trudnych chwilach nieraz byłeś przy mnie, pamiętam to i doceniam.

Stan mojego zdrowia pogorszył się. Noce są okropne. Spędzam je bezsennie w fotelu i duszę się. Mam zaburzenia w małym układzie krążenia krwi, na to nie wolno leżeć. Nie śpię i rozmyślam. Często wspominał naszą młodość, szkołę, uniwersytet, „Meteor”... Gdy patrzę na dzisiejsze czasy, myślę, że mieliśmy piękną młodość! I rzecz dziwna — czerpię stąd otuchę i jeszcze raz siły do życia. Rzecz dziwna — bo dochodzę do wniosku, że sama istota życia jest irracjonalna!

Recenzji w „Nowych Książkach” nie znam i dobrze, że wskazałeś na nią... Śmierć Kruczkowskiego dziwnie zaskakująca. Miał coś w rodzaju białaczki... Do ostatniej chwili był czynny. Niedawno otrzymałem od niego kartkę, że załatwia moją sprawę u Cyrankiewicza.

Pisząc ten list, siedzę w ogrodzie. Ze względu na dobre warunki chyba pobędę w Rudzie do połowy września.

Jeśli znajdziesz trochę czasu, napisz do mnie. Ściskam Cię serdecznie

zawsze Twój  
Grzegorz.

17. VIII. 62

Drogi Marianie! Jestem znowu w szpitalu. Zaburzenia w krążeniu krwi. Najbardziej przykra z moich chorób: duszę się. Musiałem opuścić mój piękny zielony zakątek w Rudzie. Duszę się w warunkach piękna i duszę się w otoczeniu kostycznej szpetoty... Ale już nie buntuję się. Przyjmuję mój los jako rzecz, widac, naturalną.

Czytam o astronautach bez entuzjazmu...

29. VIII. 62

Drogi Marianie! Niewydolność krążenia krwi po-

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

### JESIENNY KRZAK

W późnej donalili się jesieni  
Ognisty krzak.  
Cóż i popioły trzeba cenić,  
Gdyż był w nich żar.

Ani spostrzegłem się: wspomnienie  
I siwy włos.  
Burzliwej piersi ucieszenie?  
I żmierzch? I noc?

Nie! Samotności starszej uciec,  
Schyłkowi lat!  
I dalej drogą iść po grudzie  
Pod ostry wiatr!

Nawet połowy prawdy przecież  
Nie podjął wiersz...  
Czasie, coś mi jak ptak przeleciał,  
Zwróć młodą pieśń!

wróciła, wystąpiło rżenie w płucach, ataki duszności i opuchlizna wodna. Więc, niestety — znów szpital...

Kiepsko ze mną, ale duch „jak ognia słup”. Nie chcę, żeby mnie zła choroba, choć wiem, że niewydolność krążenia krwi to ostatnie stadium sercowych cierpień. Ściskam Cię mocno

Twój Grzegorz

15. IX. 62

Drogi Marianie! Nie wiem, czy jesteś w Łodzi, może jednak zastanę Ciebie listownie.

Stan mojego zdrowia pogorszył się... Po nocach bezsennie i duszenie się... Jestem pod opieką „wysokiej medycyny” prof. Jakubowskiego i prof. Musiała. Ale, niestety, serce ma swój kres. Jest za słabe, żeby przetoczyć po żyłach potrzebną krew. Stąd powstają w płucach zastoiny krwi i objawy duszenia się...

...w domu będzie bieda. Pisać oczywiście nie mogę. Książka dla Wydawnictwa nie napisana. Więc proszę Ciebie i pozostałych kolegów z Zarządu o pomoc.

Ściskam Cię serdecznie  
Twój Grzegorz,

W dniach 20, 21 i 22 października 1962 roku Rada Artystyczna Kina Studyjnego „Gdynia” organizuje przegląd filmów nagrodzonych i prezentowanych na XVI Kongresie Międzynarodowego Stowarzyszenia Filmu Naukowego, który odbył się we wrześniu w Warszawie.

Filmy pokazane zostaną w cyklach mogących zainteresować świat medycyny i techniki, fizyków, biologów i pedagogów i innych specjalności. Warto zwrócić uwagę na ten mały festiwal demonstrujący najwybitniejsze w świecie osiągnięcia filmu naukowego.

Jak widać Rada Artystyczna Kina Studyjnego rozpoczęła nowy sezon swojej działalności od niesłychanie atrakcyjnej imprezy. Pozwala to rokować dobre nadzieje na najbliższy rok. Życzymy powodzenia i czekamy na dużo ciekawych imprez filmowych.



JANE FONDA — córka znanego aktora Henry'ego Fonda („12 gniewnych ludzi”), gra w filmie reż. Logana u boku ANTHONY PERKINSA, bohatera głośnego filmu „Czy pani lubi Brahmsa?”

ALINA GRABOWSKA

## ROZMOWA z LESZKIEM HERDEGENEM

Wrześniowe dni w Warszawie mogły licznym widzom zgromadzonym przy Placu Trzech Krzyży nasunąć dużo rozmaitych refleksji na temat koegzystencji epok. Tam właśnie kręcono wielką scenę do nowego polskiego filmu „MANSARDA” (reż. Konrad Nałęcz), którego bohaterem jest Aleksander Gieryski. W tej scenie bierze udział kilku dziesięciu statystów przebranych w stosowne stylowe kostiumy. Cwalują konie, przejeżdżają powozy, rusza konny tramwaj, w ożywionej pograżeniu rozmowie przechadzają się wytworne panie z parasoleczkami i za lotni panowie z lasceczkami w rękę. Wymieniają ukłony, czasem powóz zatrzyma się na moment, czasem ktoś spojrzy na słup z ogłoszeniowym, gdzie reklamują się KAPELUSZE, a także WODKI oraz CIASTKA OD BLIKLEGO. Z bocznej ulicy znów wyjeżdża tramwaj, który dowozi podróżnych aż — na DWORZEC KOLEI WARSZAWSKO — WIEDENSKIEJ. Ot, normalny dzień, normalny ruch uliczny w Warszawie, np. w r. 1870.

Przepraszam! Epoka o sto lat późniejsza domaga się swoich praw! Już niecierpli-

wia się kierowcy (samochodów), już milicjanci z trudem powstrzymują napór tłumu, już słychać klaksony i zgrzyt opon na jezdni. Węc — zgodnie z umową — na trzy minuty na Plac Trzech Krzyży znów wkroczył rok 1962, wzduż ulicy pędzi sznur aut, tramwaj konny zastępuje autobus, a konia — motocykl i skuter. Po trzech minutach ruch zostaje wstrzymany i kierownik produkcji filmu „Mansarda”, p. Mieczysław Wajnberger woła przez wielką tubę: „Ruszamy! Ruszamy! Statysty idą, powozy jadą, tramwaj konny jedzie, ruszamy!”

W ten sposób pięknie i zgodnie współistnieją obok siebie w trzminutowych odstępach czasu obie epoki...

O którą z nich mam pytać, rozmawiając z aktorem grającym w tym filmie główną rolę?

Nie taka to prosta sprawa. Pozwól sobie na chwilę szczerości: wywiad z LESZKIEM HERDEGENEM był zadaniem wyjątkowo trudnym. Wszyscy interesujący się literaturą, publicystyka i krytyka wiedzą kim jest Herdegen: świetny eseista i felietonista, krytyk li-

teracki, znawca literatury współczesnej, kierownik działu krytyki „Życia Literackiego”. Kierownik Literackiego Teatru Starego a także współzałożyciel Wydawnictwa Literackiego w Krakowie i jeden z jego redaktorów, oraz autor tomu felietonów krytyczno-literackich pt. „Zadania domowe”. Lecz także — Hamlet w słynnym spektaklu krakowskim, Villon w „Apelacji Villona” Barnasia, Poeta w „Indyku” Mroźka, Cyd, Kucharz w „Matce Courage”, Heliołabal w „Irydionie”, wkrótce Caligula w sztuce Camusa, aktor znany z wielu innych przedstawień, a także z „Lunatyków”, z „Roku Pierwszego” i „Kwiecia”.

„I, kiedy tak głośno myślę, zastanawiam się nad tym — rzadko przecież spotykam — połączeniem zainteresowań, możliwości i dyspozycji typu intelektualnego i typu artystycznego — Herdegen powiada:

— A tak naprawdę, to od dziecka interesowała mnie technika. A potem, w czasie wojny byłem pomocnikiem palacza przy piecach martenowskich w Stalowej Wol, pracowałem także jako tra-

Świat, który w jednym pięćdziesięcioleciu przeżył dwa straszliwe kataklizmy nie potrafi i chyba nie chce pozostać obojętnym wobec swych tragicznych doświadczeń i wspomnień.

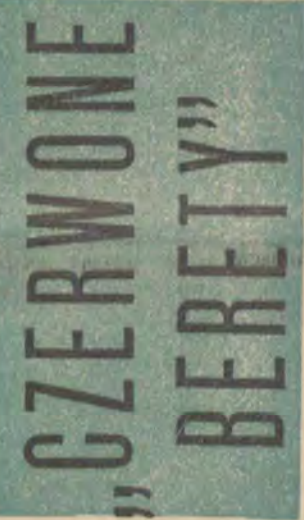
Temat wojny wraca ciągle do literatury i innych sztuk jako historia wydarzeń politycznych, jako problem stosunków między ludźmi i jako czas, w którym człowiek wciąż gnęty w tragiczną grę, podany zostaje straszliwej próbie charakteru. Film w czasie swej krótkiej historii przedstawiał na ekranach setki utworów o tej tematyce. Robiono filmy dobre i złe. Oglądaliśmy na ekranach dramaty i epopeje, tragikomedie i groteski — we wszystkich przypadkach wojna ukazywała swoje zawsze okrutne oblicze.

Przyzwyczajeni do jakiejś konsekwencji, którą powoduje dokonany przez autorów wybór określonego gatunku filmowego, stajemy wobec dzieła Mario Monicelliego pełni podziwu.

Uderza nas wielki talent artysty, który potrafił w swym filmie, będącym w zasadzie epopeją wojenną, spleść w idealnej harmonii tragizm i groteskę.

Pokazał Monicelli w „Wielkiej wojnie” fragment wydarzeń I wojny — walki Włochów i Niemców na tzw. „górkim froncie”. Te same wydarzenia oglądaliśmy w filmie K. Vidora „Pożegnanie z bronią”, mieliśmy identyczną scenę, podobne sytuacje. Jednak Monicelli wyszedł daleko przed swego amerykańskiego kolegę. Vidorowi zdarzenia posłużyły jako tło dla efektownego romansu. Monicelli zaangażował się w swym filmie w problemy o wymowie ponadczasowej i ogólnoludzkiej. Dał wstrząsający obraz bezsensu i okrucieństwa wojny.

Wielką wojnę — fragment wydarzeń I wojny — walki Włochów i Niemców na tzw. „górkim froncie”. Te same wydarzenia oglądaliśmy w filmie K. Vidora „Pożegnanie z bronią”, mieliśmy identyczną scenę, podobne sytuacje. Jednak Monicelli wyszedł daleko przed swego amerykańskiego kolegę. Vidorowi zdarzenia posłużyły jako tło dla efektownego romansu. Monicelli zaangażował się w swym filmie w problemy o wymowie ponadczasowej i ogólnoludzkiej. Dał wstrząsający obraz bezsensu i okrucieństwa wojny.



EWA NURCZYŃSKA

## WIELKA WOJNA

Postacie i zdarzenia z filmu Monicelliego świadczą o odwadze z jaką reżyser dotyka spraw, o których nie sposób mówić nie łamiąc pewnych ogólnie przyjętych zasad i pojęć o ludzkiej odwadze, honorze i obowiązku wobec ojczyzny lub ideału.

Bonaterowie „Wielkiej wojny” to ludzie wplątani w machinę wojenną wbrew swej woli, ludzie starający się w różny sposób z jej bezsensownością. Inaczej będzie wyglądał major, będący we wszystkich sytuacjach zawsze „człowiekiem”, nigdy bezdusznym dowódcą, inaczej jego podkomendni. Bordin zgłaszając się do wszystkich niebezpiecznych zadań zarabia na życie pozostawionej w głębi kraju rodzinie. Stara się wojnę przetrwać pracując, choć praca ta jest tańcem ze śmiercią.

Dwaj przypadkowi, wojenni przyjaciele, główni bohaterowie „Wielkiej wojny” będą rozsądni często naiwnością oraz sprytem — wymigiwać się od śmierci. Będą oni w filmie reprezentować postawę antybohaterów, zginą jak bohaterowie. Potencjalnym bohaterem jest każdy człowiek, wydaje się mówić film Monicelliego, nie każde bohaterstwo jest jednak potrzebne. Film krzyczy chwilami — nie doprowadzajmy świata do takich sytuacji, by człowiek musiał być bohaterem.

Nie ma w filmie Monicelliego ani jednej nieprawdopodobnej sytuacji, ani jednej fałszywej postaci. Artysta zdołał

w swym filmie zamieścić ogromny bagaż prawdy o człowieku i zademonstrował najbardziej humanitarne hasło do życia, a nie śmierci, wywołanej czymś rozkazem. Potrafił Monicelli wykorzystać w swej argumentacji elementarne cechy ludzkiego istnienia — jego piękno, tragizm i groteskę. Zastosował artysta w swym filmie chwyt pozornie banalny — zilustrował żonierskie piosenki odpowiednimi zdarzeniami, stosował podobieństwo lub kontrast. Idealna dramaturgia realizacja tego pomysłu dała efekty niezapomniane.

Nie zapomina się również kreacji aktorów z „Wielkiej wojny”. Gra Folco Lulli i Alberto Gordi nie wymaga reklamy, choć warto wspomnieć, że Gordi otrzymał za swą rolę wyróżnienie jury w neekiego festiwalu w 1959 r.). Nieoczekiwanie, pierwszy aktor filmu włoskiego Vittorio Gassman zagrał swego Giovanniego nie gubiąc ani jednej subtelności i możliwości aktorskiej.

„Wielka wojna” należy również do niewielkiej jeszcze grupy filmów, w których panoramą spełnia zdecydowanie artystyczną funkcję. Podkreśla w filmie Monicelliego zwłaszcza wymowę scen batalistycznych i żołnierskiej tułaczki.

W 1959 r. w Wenecji otrzymała „Wielka wojna” Grand Prix, ex aequo z „Generałem Della Rovere”. Czekamy teraz na Rosseliniego.

... W tych dniach ukończono zdjęcia plenerowe do filmu „Czerwone berety”. Ekipa realizatorów znajduje się już w tej chwili we Wrocławiu, gdzie w atelier kontynuuje prace przy filmie.

Przebieg zdjęć plenerowych, mimo bardzo trudnych warunków, trwał na ogół niedługo. Zdjęcia rozpoczęto pod koniec lipca br. w Lagiewnikach Śląskich i poprzez Oświęcim, Kraków, Niepołomice, Szczecinek i Kłodzko — zakończono je na lotnisku we Wrocławiu. Bohaterami filmu są nasi dzielni kompani, popularnie nazywani przez wszystkich „chłopcami w czerwonych beretach”. Dookoła właśnie kilku takich bohaterów toczy się akcja filmu, której przebieg obfituje zresztą w pełne grozy sceny i karkołomne wyczyny spadochroniarzkiej braci.

Głównymi bohaterami filmu „Czerwone berety” są aktorzy: M. Lipińska i M. Kociniak — aktor teatru Ateneum w Warszawie. Dzielnie sekundują im — J. Szajewski, A. Sadowski, R. Szeld i W. Kalinowski oraz J. Domański — autentyczny komandos. Film realizowany jest przez reż. P. Komorowskiego, przy współpracy Zb. Chmielewskiego oraz operatorów — K. Winięwicza i W. Sobocińskiego. Kierownikiem produkcji filmu jest T. Karwański. Kierownictwo artystyczne filmu spoczywa natomiast w rękach reż. J. Kawalerowicza.

Z E T M A R

zbożowej. Uciekłem z obozu, wojna się skończyła, zacząłem się uczyć. Między nami mówiąc, uczyłem się fatalnie... Lata 1945—1946 w Krakowie były niezwykle ciekawe. W teatrze za dykcji Pronaszkę odbył się szereg świetnych spektakli. Poszedłem do Szkoły Teatralnej. Piękny był to okres, intensywny i w sensie intelektualnym i artystycznym. Debiutowałem wierszami w „Dzienniku Polskim” (któż zresztą w tym wieku wierszy nie pisze?...), próbowałem eseistyki i felietonu, jednocześnie robiłszy doświadczenia przedstawienia, razem z Cybulskim i Kobielą myślałmy o stworzeniu teatrzyku studenckiego (tak, tak, to z tych przemysłów powstał potem „Bim Bom”). Potem grałem w Teatrze Wybrzeże, później wróciłem do Krakowa i pracowałem w „Życiu Literackim”, potem nikt nie chciał zająć się sztuką Barnasia „Apelacji Villona” — która mnie wydawała się niezwykle ciekawa — więc trzeba było założyć Wydawnictwo Literackie, potem zaproponowano mi kierownictwo literackie teatru, a potem przyszedł dyrektor i spytał, czybym Hamleta nie zagrał... Więc mówię: czemu nie? — I tak zostałem na scenie. Oto i całe „curriculum vitae”.

— Co Pan myśli o sprawie: intuicja, przeżycie — a dystans przygotowanie intelektualne w sztuce? Konkretnie — w sztuce aktorskiej?

— Jestem całkowitym przeciwnikiem tego, co się mówi o intuicji. Jestem przeciwnikiem tego, co się okre-

śla terminem „przeżycie”. To „przeżycie” jest, jak sądzę, i w teatrze i w filmie czymś wręcz poniżającym! Jeżeli widzę płacze w teatrze — to wstyd. Powinien doznać „przeżycia” — ale intelektualnego, powinien otrzymać porcję spraw do przemyślenia. Reżyser i aktor dostają od autora temat, zadanie, które muszą rozwiązać. Aktor nie gra „człowieka” — ale problem, zagadnienie. To jest chyba bliższe współczesnej mentalności niż deklaratywne się afektami.

— A Gieryski w „Mansardzie”? Toż to epoka odległa o stulecie...

— Nie! Zupełnie się z tym nie zgadzam. Postać Gieryskiego zainteresowała mnie już przed laty, kiedy po raz pierwszy przeczytałem książkę Wikiewicza o Gieryskim. To jest historia, która daje możliwość zaprezentowania najzupełniej współczesnej postawy wobec życia, wobec zjawisk i ludzi. Losy bohatera, fabuła, kostiumy są z tamtej epoki ale przecież aktualny jest typ postawy psychicznej. Gdyby Gieryski żył w 1962 roku, jego dzieje byłyby takie same. Życie wielu współczesnych malarzy układa się podobnie.

— Czy mógłby Pan opisać swój dzisiejszy „dzień pracy” nad rolą w „Mansardzie”?

— Od piątej rano do siódmej wieczorem zdjęcia. Potem rozmawialiśmy z reżyserem o takim drobiazgu: schodzę z powozu, żegnając partnerkę (Aleksandrę Słaską — przyp. mój A. G.). Dopalam papierosa trzyma-

jąc go pomiędzy palcem wskazującym, a kciukiem. Czy ten — współczesny, a charakterystyczny sposób palenia będzie pasował do postaci Gieryskiego? — Zdecydowaliśmy, że tak. W ten sam sposób będę palił i w następnych scenach. Po tej dyskusji oglądaliśmy nakręcone materiały. Ja mam specyficzny sposób chodzenia, zdaje sobie z tego sprawę. Lekko kołyszący, chybliwy, nerwowy, „antydostojny”. Czy Gieryski ma tak chodzić — czy to się mieści w naszej wizji postaci? Zastanawiałem się nad tym dosyć długo. Przeglądałem skończony, teraz rozmawiam z paniami, jednocześnie myślę o następnych scenach, które będą kręcone w atelier w Łodzi. Oto cały „dzień pracy”. Trzecią takęgo „dnia” musi być chyba dla aktora nieustanna kontrola, zimna, obiektywna analiza każdej sceny, każdego glerki, każdego ruchu. O ile jest on zgodny z kreowaną postacią? O ile do niej „pasuje”?

— Co Panu daje większą satysfakcję — literatura czy scena?

— Na pewno scena. Ale kiedy nasz kierownik literacki wyjeżdża, to niejednokrotnie jeszcze redaguję program. To już jednak chyba dlatego, że w ubiegłych latach biegle opanowałem znaki korektorskie...



# ŁÓDŹ W JAKIEJ ŻYJEMY OKOLICA dwóch ŚWIĘTYCH

Bajecznie kolorowy jest plan miasta. Wielka Łódź znaczy się na nim barwnymi plamami od Mosku i Łagiewnik na północy aż po Starą Górę i Wojenny Cmentarz na południu. Ten cmentarz siłą rzeczy musiał być włączony do Wielkiej Łodzi. Już 48 lat temu walczyli tu przecież o nasze miasto zabłąkani żołnierze zza Urалу z zabłąkanymi żołnierzami z Bawarii i Brunświku. Trup padal gęsto, ale i nieco żywych zostało po owej wojnie w okolicy: dali początek licznym domom w Rudzie, Starowej Górze, na Górkach Nowych i Starych.

Potem przyszła na te tereny wielka inwazja bezrolnych spod Piotrkowa, Łasku, Tuszyna i Rzgowa szukających pracy u Geyera i Stolarowa. Jedni „robotniczyli”, inni — „chłopieli”. Tych ostatnich osadziła na ziemi parcelacja i zmusiła długie okresy bezrobocia, ci pierwsi dali początek ubożuchnej zabudowie drewnianej na Chojnach. Nie wchłonięło ich jeszcze miasto, zaczynające się przecież dopiero za geyerowskim rynkiem i Stolarowem, przestali już być wsią rozsiadłą wokół dóbr Zimmermanna, od cmentarza św. Franciszka aż po Rudę i Wojenny Cmentarz.

## GDZIE OBYWATEL, GDZIE WŁADZA?

Po 48 latach ludzie sięją tu zboże, sadzą kartofle, wędrują dzień w dzień do łódzkiej fabryki i na łódzkie place budowy. W ciągu tego czasu założono „smółwkę” na ulicy Kurczaki, wybito kociami łbami ulicę Paradną, wyprostowano kilka innych ulic nie — ulic, ale trakt, który przed pół wiekiem prowadził do wiejskich zagród w rejonie dzisiejszego Młynka nazywanym potem ulicą Komorniki, nadal graniczy z piekłem. — Piekło — mówią — wybrukowane jest dobrymi ceglami, a na ulicy Komorniki nie ma bruku nawet z owych cegieł, ani jezdni, ani chodnika tylko rów pośrodku: gdy przyjdą deszcze, woda żłobi, nową ulicę. Gdy ludzie zasypiają bajorą, nowy deszcz na nowo żłobi koryto. Ani straż, ani pogotowie nie dojeżdża, ludzie żyją więc tu z duszą na ramieniu, polecając ją przezwężnie św. Wojciechowi, który w pobliżu doczekał się smukłego kościoła. Ten świąty co prawda nie zawsze w historii chojeńskiego Zatorza był dobry, a tego wymaga się zazwyczaj od świętego. Przed ostatnią wojną przez wiele lat straszyl i groził niewysłownymi mekami: oto malarz — samouk, Kierpal, wymalował na ścianach kościelnych tak przerażające wizje cierpień grzeszników, tyle w jego dziełach było prymitywnej grozy i przerażenia — że co tchórzliwsi parafianie omiłowali kościół. Wtedy i władze kościelne po jakimś czasie zrezygnowały z kierpalowych wizji piekielnych, zadowalając się perswazjami z ambony.

W ciągu 48 lat historii Chojen, Józefowa, Kurczaków, Górek Starych i Nowych zajął tu jednak wynalazek Edisona i wynalazek Bella. Do kilku sklepów, apteki i przychodni, zajął Zorro ze szklanego ekranu. Ale przecież chcielibyśmy pisać o najważniejszym: wiejskie chałupy z okolic Młynka i Starowej Góry, z Józefowa i terenów na północ od dawnego wiośni Zimmermanna dochrapały się nie były jakiejś godności — włączono je do Wielkiej Łodzi, dziesiątki tysięcy tych chłopo-mieszczan wielkołódzkich korzystają więc z dobrodziejstw te renowej władzy. A, że dobrodziejstwa te płyną z odległej siedziby Rady Dzielnicy, nazwanej „Górna” i położonej w Alei Politechniki, nie dziwnego, że władza tu władza, a życie płynie często swoim własnym nurtem.

## GDZIE SZUKAC WODY?

Mimo przynależności do Wielkiej Łodzi nurt życia chojeńskiego Zatorza natrafia ciągle na te same porohy. Ciągłe spędza sen z oczu ludziach troska podstawowa: kobiety mają kłopoty z praniem, wody bowiem w okolicy tyle co kot napłakał, a władza nie tak szybko będzie jej mogła chójniakom dostarczyć. Studnie powysychały, lustro wody w nich katastroficznie obniżyło się („... i 36 dren też nie wystarczy” — mówiono mi na Paradnej, tuż za stawami św. Jana), zbudowane zaś w ostatnich latach studnie na Wdźnicznej, Mullnowicza, Kurczakach i Mieszkańskiej dają wodę żółtą jak z gliniarki. Nie zmienia sytuacji w gospodarstwach domowych nawet szczególna zapobiegliwość: łapanie wody do wiader i beczek (zaobserwujcie, kto w łódzkich MHD wykupuje naczynia z blachy, plastiku — jeśli nie kobiety z Rudy i Chojen, najbardziej dotknięte posuchą).

— Z tego zbierania wody do wiader i kotłów tylko wilgoć w mieszkaniach — skarżyła się babina na jednej z przecznicy Rzgowskiej, tuż przed św. Wojciechem. — A zimą zamraża, mnie to nawet w styczniu tego roku mróz wysadził dno w beczce.

Więc ratunek w dzielnicy-cowym wozwodzie. Witają go długie kolejki ludzi z

wiadrami. Woziwoda jednak nie załatwia sprawy prania, nie zdążył nawet ze średnim praniem, a gdy chcesz wodę zmienić po „kolorach” — woziwody już nie ma. Przyjeżdża jednego tygodnia rano między 7 a 8, innego — między 2 a 3.30 po południu. Przyjeżdża różnie, by ułatwić życie tym co pracują na zmianę. I tym jeszcze jakoś się żyje, gorzej z pracownikami całodziennymi: nie zdążą po wodę ani w czasie rannego, ani popołudniowego rajdu woziwody.

Zresztą — nie się tu chyba w tej sprawie od dziesięcioleci nie zmieniło. W latach trzydziestych wwiecono się w ziemię, budując studnie artezyjskie. To był drugi etap walki miasta włókienniczego o wodę (pierwszy — studnie fabryczne), ale jak wie my, przemysł i miasto i po drugim etapie nie ugasiły pragnienia. Przyszedł trzeci etap — pierwszy ciąg wodny z Pilicy, za nim półdzieci drugi, ale i to Łódź nie wystarczy, bo planistom roją się już zamierzenia sięgające w przyszłość.

O tych pięknych wizjach mówili i na Chojnach kandydaci na radnych przed 16 kwietnia 1961 roku, uświadamiając, tłumacząc, kreśląc perspektywę. Ludzie wzięli oddech na te lata posuchy, kupowali wiaderka i kotły, magazynując wodę jak na pustyni i czekając. Wyczułi się na wodę, może dlatego łatwo im się załamać w tej wierze w przyszłość. Wystarczyło na przykład, że miejscowa władza poleciła przeciągnąć miejską wodę od Rzgowskiej na wschód chojeński nie tak, jak spodziewała się większość, by zrodziło się niezadowolenie.

— Dlaczego puścili ją Błękitną — pytano mnie z wyrzutem, jakbym reprezentował co najmniej kanalizację i wodociąg — dlaczego Błękitną, gdzie stoł wszystkich parę domków jednoprojektowych, a nie Powszechną, gdzie z wody korzystałyby jednocześnie najbardziej zagnieżdżone bocznice: Łokietka, Bałtycka, Strzelecka, Wdźniczna, Socjalna i ludzkie łaknący wody już od 30-40 lat? Gdyby tak pożar wybuchł — pożał się Boże, co by się tu działo...

Gdy ciągnięto wodę od Rzgowskiej, tylko komitety blokowe nie załamywały się jeszcze: chodziły po ulicach, zbierały podpisy tych, którzy natychmiast chcieli dać swoją pracę, byle tylko wodę doprowadzić do najbardziej suchych ulic. Ludzie chcieli kopać rowy pod rury, potem je zasypać i teren uporządkować — ale rada odpowiedziała: nie mamy więcej pieniędzy w tym planie. Gdy to doszło do ludzi, zaczęło się nowe zbieranie podpisów obywatelskich. Podpisujący zgadzali się ponieść koszty, chcieli wesprzeć radę w biedzie, a sobie pomóc, ale na spotkaniu z radnymi i fachowcami w szkole na Spółecznej fachowcy sprawę „wyjaśnili” — ostatecznie: sposobem gospodarczym tej sprawy załatwić się nie da. Ludzie przyjęli to z wiadomością, bo nastrój na spotkaniu był



uroczysty, aktorzy przyjechali z Estrady, więc nie zatruli już życia radnym, choć to dla nich sprawa tak drażliwa.

— Ale tak, prawdą, a bogiem, nie powinniśmy marnować tego cennego kapitału — ludzkiej ofiarności. Zasłynęła nam Łódź w ostatnich latach wyrobieniem obywatelskim. Jeżeli ludzie chcą świadczyć dla siebie i dla miasta, trzeba znaleźć ujście dla takich inicjatyw.

Więc teraz jest tak na Górkach Starych i Nowych, Komornikach i Józefowie, na Kurczakach: telewizja nadaje co wieczór niemal piękny obraz świata, na wielu uliczkach po lewej i prawej stronie Rzgowskiej co tydzień gości w drewniakach i chałupkach Irena Dziedzic, rakiety szybią co raz częściej po orbitach, nawet ministrowie i najwięksi tego świata malują radośnie jutro telewizorom, a tu baby chodzą strute, a dzieciaki brudne, bo przepierki nie można w porę zrobić. No cóż! I na Chojnach przypominają się owe stare dowcipy o dobrodziejstwie samolotu: w każdej chwili może cię unieść do miasta, w którym akurat nie jest pod dostatkiem...

## GDZIE ZNALEŹĆ SPOKOJ?

Idę teraz Paradną, mijam zwaliste kontury budującego się szpitala, chłodem wieje od stawów św. Jana. Te stawy jednak stanowią dla tutejszej ludności jakiś skrawek nowej nadziei: może się zdarzyć, że dzięki spiętrzeniu wód w stawach nowym jazem i lustro wody w studniach okolicznych wkrótce podniesie się. Może. Nadzieja jest całkiem konkretna, więc ludzie wybaczą radnym dzielnicowym —

że przed wyborami w ciągu dwóch miesięcy aż dwa razy przyszli na spotkanie z wyborcami, a po wyborach przez półtora roku zjawili się tylko raz i to też tylko po to, by wyjaśnić, że „tego w planie na rok bieżący nie

ma, a „tamto” nie zmieściło się nawet w pięciolatce,

że nie wykazują dostatecznej energii, jeśli chodzi o poprawę dróg chojeńskich („do cmentarza na Kurczakach drogę jaką — taką zrobili, ale dlaczego żywi tak długo mają grzęznąć w błocie?...”),

że cieszą się z naprawdę skromnych sukcesów.

Są jednak rzeczy i sprawy pilniejsze. Braku energii w tych zaś sprawach ludność radnym nie chce tak łatwo wybaczyć.

Jest ich kilka. O pierwszej z nich mówi mi mój towarzysz, gdy w drodze do wschodniej części Chojen stanęliśmy wreszcie na bazaltowej kostce Rzgowskiej. Z lewej strony droga wita się ciemną, połyskującą wstęgą, skracającą ostro za rogiem zabudowań. Stałymi obok chojeńskiego „zakrętu śmierci”. Zakręt ten jest na wysokości Spółecznej i Dembowskiego i od lat zbiera krwawe żniwo strat. Co prawda założono lustro, ale gdy przyjdzie mgła (co w pobliżu Olechówki zdarza się często) kierowca klepsko widzi. A przecież chodzący by tylko o zebranie dwóch poniemieckich ruder. Obliczono, że zawałodrogi są warte pół miliona złotych, a samych „Starów” (140 tys. zł sztuka) rozbiło się tu w ostatnich latach ze czterdziestu. Rachunek więc mobilizujący, co kiedy likwidacja „zakrętu śmierci” nie mieści się w planach rady na najbliższe lata.

A druga sprawa?

— Wie pan, nie chciałabym, żeby to było na mnie — sumitowała się godzinę później przewodnicząca jednego z komitetów blokowych — ale wieczorami ludzie boją się tu wychodzić z domu. Za barakami (przed wojną były to domki dla eksmitowanych) jest szkoła na Królewskiej i lasok. MO za rzadko tu zagląda, a szkoła, bo grasują tu całe watahy z procami i co wkręci się lampę zaraz ją pottuką. Zwrócisz im uwagę, rzucają się na ciebie, tylko strażacy z ul. Michała jakoś sobie z nimi radzą, wala pasami i sprzączkami, leć nie leć. A co się dzieje przy kinie „Łączność” na Józefowie? Na ławkach siedzą chuligani, piją z butelek i obrzucają wchodzących do kina taką „laciną”, że uszy wędzną. Zwrócisz im uwagę, to musisz potem szukać na sali znajomych i życzliwych, by cię odprowadzili do domu, bo każdemu przysiegają krwawą zemstę. Gdyśmy mieli komisariat na Rzgowskiej, było tu znacznie spokojniej, a teraz, gdy rozeszła się wiadomość, że na Zatorzu grasują jakieś dwie bandy „Zorro” i „Burza”, ludzie zaczęli zamykać się w domach już o zmroku. Podobno MO jest na ich tropie, ale dopóki łobuzów

nie wypłają, każda ciemna ulica na Chojnach, (a jest ich większość) rodzi niepokój.

## GDZIE SĄ RADNI?

Okazuje się więc, że to nie tylko brak wody i grzeżawiska jesienne ulic. Wydaje się przy tym, że w sprawach spokoju i bezpieczeństwa zawiła zbyt daleko idąca... konsekwencja: jak pięć dzielnic, to i pięć komend MO. A to w niektórych dzielnicach (jak np. w tej gdzie jest kilka odrębnych skupisk ludzkich rozrzuconych na olbrzymich obszarach południa Łodzi: Ruda, Chojny, Józefów, Młynek, Komorniki, Kurczaki) — stanowczo za mało. Bo gdy dzielnicowi mają za dużo do chodzenia, to i pocucie spokoju wśród obywateli nie za duże. Zresztą niech powie samo życie: trzy razy zakładano w jednym z bloków ORMO, trzy razy bezskutecznie („będę wracał do domu wieczorem, to w ciemnościach dostanę paląco innego milicjanta, jego boją się szumowiny”).

Tego dnia mówiono mi o innych jeszcze trudnościach codziennego życia: że brak sklepu spożywczego (przy kole sklepu przy sklepie, a tu w okolicy św. Jana na 16 ulic ani jednego), że spadek napięcia szybko wykarca telewizory i inne urządzenia elektryczne, że na Powszechną, jako na ulicy wylotowej, przydałaby się twarda nawierzchnia („nie przewidujemy ul. Powszechną w 5-latce” — powiedzieli w Radzie), że nie ma sposobu na plażę gołębiarzy („nawet gołębie, panie, szybko przegrza papę i potem cieknie”), że wszyscy czekają na wiadukt na Rzgowskiej, bo wtedy ruszy może i do tych zapadłych kątów Wielkiej Łodzi wielka zdobycz XIX wieku kanalizacyjna — ale ja przecież szukałem wśród ludzi odpowiedzi na pytanie zasadnicze dotyczące związków i łączności z przedstawicielami miejscowej władzy. Pytałem na przykład: —

— Czy znacie swoich radnych?

Po prawej, zachodniej stronie Rzgowskiej, wymieniono mi jednego radnego, Kujawiaka („taki grubawy blondyn, jeszcze przed trzydziestką”), po lewej, wschodniej — jedną radną, ale nazwiska jej jakoś sobie nie przypomniałem. Natomiast pewna blokowa chwaliła sekretarza DRN „Górna”, Indelaka „Interesuje się dzielnicą” — usłyszałem argument. Ale czy ten argument wie za słaby, jeśli wziąć pod uwagę, że w okolicy dwóch świątych — ja na i Wojciecha — gdzie nie spluniesz, tam pilna sprawa do załatwienia? Nie na jutro, albo na dziś, ale na WCZORAJ...



Fot. W. Biliński

O piątej przed wieczorem mineliśmy Półwysep Helski, potem powoli w miarę jak pasemko lądu zaczęło niknąć za mglistym fioletem oddalenia i w skośnych promieniach słońca świeciły jeszcze tylko nadbrzeżne piaski — ostatni pasażerowie schodzili do wnętrza statku. Na najwyższym, słonecznym pokładzie stały jeszcze dwie kobiety, obie nie ukrywające płaczu. Jedną była amerykańska dziennikarka, która spędziła pół roku w Polsce i przy okazji odwiedziła babkę na wsi, zorientowałam się w tym z jej rozmowy z oficerem z „Batory”, w Gdyńi na dworcu morskim witał ją, wracającą do Ameryki, jak dobrą znajomą. Druga kobieta, choć podobna do Szwedki, była Polką; wysoka, z jasną grzywą włosów. Lykając łyżo długo patrzyła za rufę statku, jeszcze zapewne widziała tych co ją odprowadzali — matkę i brata; w Gdyńi przy nabrzeżu pożyczyla ode mnie lornetki, a odnalazszy ich, za każdym razem mówiła: „O Boże, żeby oni już poszli, ile godzin my tak możemy stać i płakać?” Domyśliłam się, że jedzie do Ameryki „na zawsze”.

Wreszcie coś, co wydawało się cieniem lądu rozplynęło się, uderzył dzwon na posilek, amerykańska dziennikarka śmiejąc się otarła oczy chusteczką, powiedziała: „Nie wiem czemu ja płaczę, wszystkie płaczą to ja też” i zeszyliśmy na dół. Niżej, na pokładzie spacerowym w osłonie nadbudówek stało kilku mężczyzn z podniesionymi kolturami. Zaczęła dąć świeża przedwieczorna bryza, ktoś podobny do księdza lub aktora, tak do Lawrence’a Olivier, tak, na pewno do niego, przyjrzał się nam uważnie, uśmiechnął się do Marii. Chyba to jednak nie był ksiądz.

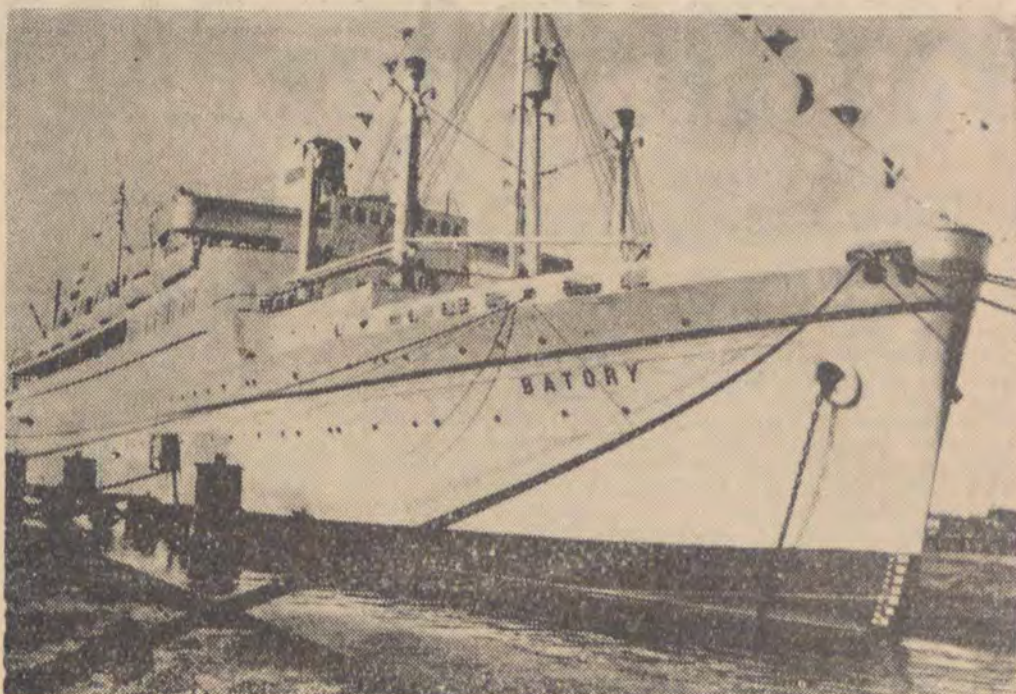
Od tej chwili życie na statku zaczęło się toczyć normalnym morskim trybem. Rano o pół do ósmej w naszym wnętrzu przez drzwi kabin melodii okrętowej pozytywki, wprowadzając nas w pogodny, harmonijny nastrój, potem miły męski głos powie po polsku, angielsku (i od Kopenhagi po duński): dzień dobry! Leżąc jeszcze w wygodnych, miękkich kocykach dowiedzieliśmy się jaka dziś pogoda na morzu, jaka fala, siła wiatru, gdzie się znajdujemy. Potem nastąpił skok z postania na zastaną grubym dywanem lekko kołyszącą się podłogę, rzut oka przez iluminator na niebo, na zielonkawą roztoczę morza. Białe cumulusy wrożą pogodę, zapowiada się piękny dzień! Piękna podróż.

Z naszej, dziobowej, części statku dochodził się do śródkreścia wąskim korytarzem — biel lakierowanych ścian, złote polskie mosiężnych poręczy, czerwieni kokosowych chodników; idąc korytarzem trzeba zawsze trzymać się tych poręczy, przód statku co chwila podnosi się i opada na falę. Kołysanie przestaje się wyczuwać w hallu, przed jadalnią, dlatego — myślę — fotele w nim zawsze obsadzone. Tu zresztą koncentruje się największy ruch — biuro intendenta, kioski z upominkami Cepeli, z drobiazgami galanterijnymi pochodzenia zagranicznego (sprzedają za walutę obcą), tu przystajemy przed ma-

pamiorskimi, które wytwarzają nasz szlak i pokazują co kilka godzin nową zmianę pozycji geograficznej statku. Tu dowiadujemy się z tablic co ciekawego i przyjemnego i o której godzinie czeka nas tego dnia, a więc: przed południem kąpiel w basenie, gimnastyka na wspaniałych przyrządach gimnastycznych, gry sportowe na pokładzie; po południu bingo (rodzaj amerykańskiej loteryjki), filmy, koncert w kawiarni, położonej „przełicznie” na dziobie statku, wieczorem — dansingi w salonach I i II klasy, lub dla melomanów koncert muzyki poważnej z płyt. Stąd, z tego hallu, prowadzą wreszcie podwoje do przybytku rozkoszy podniebienia, do tzw. dining-room, czyli słynnej na cały świat i jego okolice jadalni „Batory”. I tu — w hallu — na miękkich fotelach siedzą zawsze one, te stare kobiety, w zgrzebnym standardowym amerykańskich butach, niezgrabnych długawych

zażywają medycynę (lekarstwo), studiują uniwersytety, obiekty dress, ich syn na birthday musi mieć zawsze party; chodzą na siaping (shopping — kupno) na siou (show — przedstawienie, do kina), chcą drinka, mają poiting na deku; słuchają do radia (listen to the radio).

Co to są za kobiety, o czym one myślą i mówią, gdy tak siedzą i patrzą, patrzą i usta im się poruszają na widok współpasażerów, oficerów „Batory”, stewardów, boyów, na widok nas, obywateli polskich, podróżujących do Ameryki „na wizytę” — jak mówią (od to visit — odwiedzić). Czy to są Polki, które po latach przyjechały stęsknione odwiedzić swój kraj, nasycić się wonią pól i łąk ojczystych, posłuchać klekotania bociana, nacieszyć się swoimi bliskimi — ojcem, matką, siostrą, wnukami, zachwycić oczu odbudowaną z ruin Warszawą, zanurzyć się w czystym strumieniu mowy polskiej, zobaczyć odbudo-



roladę? Już podają. Na gorącą przystawkę poleciłbym panu turbot frite z sosem Remoulade, a dla pani pan kuchmistrz specjalnie ugotował rybę królewską (holibut), panu też holibut, może z rusztu raczej, proszę bardzo...

Uff, dopiero jesteśmy przy przystawkach. Kanadyjczyk je na ponuro, jest powściągliwy, mało mówny, gnadige Frau pochodzi wprawdzie z Pomorza, ale to ktoś z dawnych kolonistów niemieckich, kto wyemigrował lata temu. Jej angielszczyzna dla odmiany to raczej zangielszczona niemiezczyzna. Też mało mówi, prawie nie rozumie po polsku, rozmawiamy więc raczej my z p. Lucją, lecz ona... ma czasem interwale — patrzy, ale ja wiem, że jej tu nie ma, słucha, — ale nie słyszy. O czym ona myśli? Potem dowiem się, nad czym się zamyśla, kiedyś powie mi sama: poznałam męża u siostry, w zeszłym roku, jak byłam w Londynie, przyjechał do Anglii z Chicago, tam się pobraliśmy. Mało się znamy, jest o wiele starszy ode mnie... Byłam zmęczona... swoim życiem w Polsce, chciałam wyjechać, a teraz... nie wiem, nie wiem co będzie tam. Spaliśmy z sobą wszystkie mosty... Tyle że zastrzegłam sobie u męża: co cztery lata odwiedzić kraju...

Ale oto jest już nasz cud, przynosi dymiące, wonne, kuszące zapachem i barwą po malarsku ugarbiowane mięsna, faszerowane, szpikowane schaby, białopiersne indyki, w chrupiących skorach sumy, jesiotry wolżańskie i jarzynki, i sosy.

„Pan pozwól sos Worcestershire czy Tabasco, salatkę Miami czy francuską, jedną i drugą, proszę bardzo... Dla pani dziś (to do Lucji) Puchar Favorit, a dla gnadige Frau — na zakończenie herbatka ziołowa”. Nie zapomniał.

Przez uchylone okno wpada świeży podmuch słonego wiatru, skośny promień słońca świeci w platerach, lekko skądierzawione morze niesie nas łagodnie, kojąco. Po obiedzie pójdziemy na pokład na leżaki, nad głowami będą krążyły mewy. Któregoś ranka będziemy w Kopenhadze, zobaczymy miasto tysięcy rowerów, kano, z barkami, łodziami wrzynające się głęboko w przedmieścia, muzeum Thorwaldsena, pałac królewski, sfotografujemy się ze strażą królewską w wysokich czapach. Któregoś popołudnia będziemy mijali pewien cypel wybrzeża duńskiego. Z popołudniowej sjeisty zbudzi nas głos oficera mówiącego przez głośnik: „Proszę państwa, proszę zwrócić uwagę na cypel po lewej stronie burty i zarysy zamku, to Elsinor... Tutaj król lewicz duński, Hamlet...”

Oparta o burte słyszę, jak ktoś mówi obok szeptem: „...sprawiedliwości darmo chce od ludzi, pozwól na miłość, płuć, deptać nierzeczy, tam się przekleć...”

Odwracam lekko głowę, to ten sędzia z Rzeszowa, O,

pan ma jakieś urazy, lubię ludzi z urazami, sama jestem pod swoim spokojem głęboko zraniona. Pan wie, że swoje urazy do Ameryki, co pan tam z nimi zrobi? — myślę. Na razie pan sędzia sfotografuje Elsinor, potem będzie fotografował mijające nas wielkie transatlantyki i rybackie kutry, i jachty, i ginae zarysy lądu europejskiego, potem ławice ryb, bo zobaczymy na Atlantyku ich ogromne, kotłujące się stada, grzbiety potężnych morskich bestii — może wielorybów i wysoko przed wejściem do Zatoki Świętego Wawrzynca zamknijemy z zachwytem: ukazują się pływające z białego marmuru rzeźby abstrakcyjne Moora — góry lodowe. Statek zbacza nieco z kursu (czego się nie robi dla pasażerów), podchodzi bliżej na ile pozwala bezpieczeństwo, abyśmy mogli lepiej widzieć te ogromne obiekty kształty z prześwitami i z wydrążeniami — obsiane tysiącami ptaków, które skwierzą i sklamrzą, zrywają się, krają i oblatują ten swój pływający ląd, który mieni się odbitymi barwami nieba, zieleni i szarości morza, przejrzystego fioleto powietrza, rudej czerwieni zachodzącego słońca.

A potem... potem zobaczymy brzegi Zatoki Świętego Wawrzynca, rdzawe skały, ciemną zielen lasów, porty, mosty przerzucone z brzołów na wyspy i z wysp znowu na brzegi... Nadbrzeża, elewatory, dźwigi, a potem — myślimy jeszcze — zobaczymy Niagarę i wielkie Lake Michigan z luksusowymi jachtami miliard-rów.

Aj, czego my nie zobaczymy, jak my się nie nacieszymy nieznanym ładem, o najwyższej stopie życiowej, najwspanialszych drogach, cudami architektury, drapaczami chmur, zbiorami malarszta z całego świata; musimy zobaczyć, zobaczymy Metropolitan Museum i muzeum Gugenheima, Chicagowskie Museum of Arts — tam jest podobno autoportret van Gogha, Picasso, Miro, Chagall, Arp. Tam, tam jest Polonia, sześćsetty-sieczna, polskie ulice, kawiarne, teatry, koncerty. Polonia, która jawi się nam jako całość nierozdzielna, żyjąca swoim dostatnim życiem, ale zjednoczona w tęsknocie do Polski, odwiedzająca stary kraj, budująca w Polsce szkoły, zasypująca swoje rodziny paczkami, dolarami, gościnną, hojną, serdecznie witającą każdego rodaka, śpiewaków, aktorów, malarzy, dumna z ich sukcesów artystycznych, kto by nie był; która chce wrócić, ale jej los nie pozwala, a przynajmniej pod koniec życia chciałaby wrócić i umrzeć na rodzinnej ziemi, pod polską wierzba, pod krzyżem na rozstaju i śpiewem skowronka.

WANDA KARCZEWSKA

Szkie amerykańskie (II)

# SIELANKA

na

Dziś dla smakoszu

# „BATORYM”

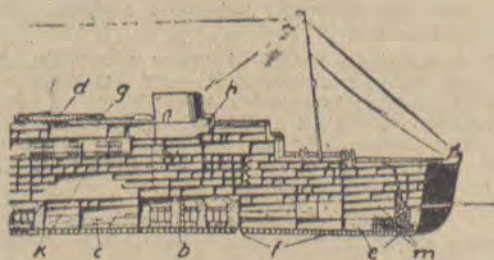
spódnicach i swetrach haftowanych perłkami. Tych kobiet nie widzi się nigdy w czytelnicy, nigdy na koncertach w kawiarni, gdzie trzeba coś wziąć z bufetu (placik), nigdy w barze, rzadko na polskim filmie, nigdy na koncercie muzyki poważnej — one siedzą właśnie tu w hallu między jadalnią, a sklepami, na tym rynku, w centrum pływającego miasteczka, gdzie panuje największy ruch, albo wyżej o piętro, też w hallu na kanapach, między cociłbarem, kawiarnią, salą dansingową i wyjściami na spacerowy pokład, siedzą, patrzą i mówią tą charakterystyczną mieszaniną języka polsko-angielskiego, w którym słowa angielskie mają polskie końcówki, słowa polskie akcentację angielską, w którym zresztą niedostateczną znajomość angielskiego sztukuje się zapomnianą, a przeto również złą polszczyzną, przeważnie chłopską. One więc mają dobry mąż, on ma fajny dział (job — praca), on kupił nową karę za pięć tysięcy dolarów, o yes, on drawuje już pięć roki;

wane i rozbudowane miasteczka, wsie, szkoły, szpitale, uniwersytety, dawne klasne sklepiki przekształcone dziś w SAM-y, podziwiać księgarnie, rozrost czytelnictwa, rozwój muzyki, osiedla robotnicze?

Nieraz czekając na swoją turę na obiad — siadam w pobliżu nich na kanapie obok i mimo woli słyszę o czym mówią. One mówią — o pasażerach, o młodych na statku, z jakimś zgorznięciem szepta o tym kimś, kto wygląda jak ksiądz lub aktor, ten nasz okrętowy Olivier, chodzący przeważnie w czar nych spodniach, w białej koszuli z kolturkiem. Słowackiego w licznych otoczeniach kobiet, najczęściej z tą młodą małą doktorową z Cieszyna (jedzie do siostry w Toronto). Ale najczęściej te kobiety mówią o nas, o Polsce, co zobaczyły, jakie wrażenie na nich wywarł kraj, ludzie, co powiedziały swoim w Detroit, w New Yorku, na farmie u siebie w Kentucky, czy Arizonie. Co one zobaczyły — chcecie się wreszcie dowiedzieć, a więc posłuchajcie, albo nie, jeszcze nie, „jeszcze poczekajmy, jeszcze się nie spieszymy”, właśnie jest „szklanka” — czyli gong na obiad, nie psujmy sobie apetytu. Nie jesteśmy wprawdzie hun-gry (głodni) ale kuchnia tu jest really very fine, więc come on do dining-roomu na lunch.

A więc chodźmy. „Dining-room” klasy turystycznej to piękna obszerna sala — lino-leum jak lustro, czerwone obicia foteli, ciemne boazerie, śnieżne obrusy, światła, światła; po obu stronach — okna na morze i — kelnerzy — cud. Po jednym dniu nasz kelner (jeden na pięć stolików) już wie, że moja towarzysza, pani Lucja, właśnie owa pożyczająca ode mnie lornetkę na pokładzie, będzie jadła na de-

ser nie tylko lody, ale także krem, owszem nawet kremu dwie porcje, a potem z uśmiechem — uśmiecha się do siebie i do kelnera — poprosi także i o kompot, i o kawę, i nie pogardzi bananem, a także pomarańczą. Ten idealny kelnera nieczemu się nie dziwi, nieczemu nie jest zaskoczony; jego jedynym celem istnienia — zadować się może — jest odgadnąć upodobania kulinarne pasażera, pojemność jego żołądka, uprzedzić zlecenie pasażera zanim myśli w słowo się zamieni. Ochl co za poemat na cześć prawdzie! Ale spojrzcie na tego pana, z jakim niezmacnym spokojem obsługuje drugiego mojego partnera od stołu, nazywajmy go dla uproszczenia Kanadyjczykiem, który na przykład na śniadanie zamawia owo typowo anglo-amerykańskie bacon and eggs, jajka na bekonie, ale nie pogardzi wcale na początek grejfrutem i owsianką na mleku (to, co je czwartą partnerka, Niemka, farmerka z Michigan). Każę sobie na jajka z bekonem położyć jeszcze kilka plasterków szynki (zamówienie Lucji); będzie jadł i bułeczki i chleb, ale skusza go moje crackers (suchary angielskie) i ser śmietankowy także. I dżem również. Na drugi dzień Kanadyjczyk już nie będzie o to prosił — kelner sam bez słowa stanie obok jego nakrycia i zaproponuje mu wszystko po kolei. Po dwóch dniach ten cud-kelner już będzie mówił, jakby czytał w naszych myślach, zanim nawet myślimy zdołał pomyśleć: „Dla pana przyniosłem zakąseczki: selerki stolowe, śledzik, marynaty, jajeczko w szynce, salatkę włoską — wszystkiego po trochu, prawda? Dla pani surówkę. Pani poleciłabym galantynę z drobiu, dla gnadige Frau — rolada duńska. Panu też podać



odgłosy

str. 5

# PSYCHOLOG za FABRYCZNĄ

Dalszy ciąg  
ze str. 1

## BRAMĄ

zeń, nie potrafi po prostu wykorzystać wszystkich możliwości, które daje mu nowoczesna technika.

Rozumowanie prof. dra Lipińskiego chciałbym przełożyć na stosunki, które ściśle wiążą się ze stanem bezpieczeństwa i higieny pracy w naszych zakładach i wywołują właśnie owe tragiczne skutki, balansujące się następnie dziesiątkami tysięcy wypadków, milionowymi stratami. Słusznie „od głosowy” Sceptyk stwierdza, że przemysł nie buduje się bez guzów i tutaj Polska nie jest żadnym wyjątkiem. Powiedziałbym raczej, że guzów i sińców jest za wiele na „ciele” Polski przemysłowej. I dlatego pytam — czy w chwili obecnej nie daloby się choć w części ich uniknąć?

\*\*\*

Każdy człowiek inaczej reaguje na określone bodźce, światło, dźwięk, sygnał, skomplikowane przez różne okoliczności i sytuacje. Nie każdy w porę potrafi skutecznie i właściwie połączyć te elementy w odpowiedni łańcuch przyczyn i skutków i reagować w taki sposób, by wynik, czyli — działanie człowieka było najpomyślniejsze i najwłaściwsze. Wiedzą coś o tym psychologowie, którzy zajmują się badaniem kandydatów do specjalnie trudnych prac.

Padło słowo psychologowie, ale w kontekście — „badania do specjalnie trudnych prac”.

Oczywiście są i takie specjalne zawody, które wymagają od kandydata jakichś rzeczywiście „oryginalnych” zdolności czy umiejętności, ale ja jestem skłonny przenieść to słowo „specjalnie” na niemal wszystkie czynności wykonywane we współczesnej fabryce. Nie wiem, czy ktoś z Czytelników „Odgłosów” widział najnowocześniejsze modele obrabiarzy czy strugarek, które wyposażone są w elektroniczne czujniki. Człowiek jest tu pozornie tylko dodatkiem do maszyny. Ale to

tylko — podkreślam — pozory, gdyż właśnie od sprawności ruchów człowieka, od jego umiejętności i dyspozycji psychicznej zależy czy owa skomplikowana obrabiarzka będzie celowo wykorzystywana, czy ta najnowocześniejsza maszyna nie wejdzie w kolizję z inną zupełnie nowoczesną maszyną — organizmem ludzkim. I tak dzieje się właściwie w każdej fabryce — tam gdzie pracują krosna o 300—400 obrotach na minutę, w halach przemysłu metalurgicznego, w zakładach precyzyjnej aparatury. Wszędzie przy maszynach stoją ludzie, którzy właśnie w trakcie swojej pracy „tworzą” owe groźne w swojej wymowie statystyki wypadków, a nawet katastrof kończących się śmiercią.

Dlatego więc — mimo że dysponują najnowocześniejszymi urządzeniami i tam krwawe żniwo zbiera śmierć lub w najlepszym wypadku kończy się to wszystko na trwałym okaleczeniu?

Odpowiedź może się wydać dla kogoś zaskakująca. Jestem bowiem skłonny twierdzić, że nie jest to wina tych ludzi, którzy stoją przy maszynach, którzy sami bezpośrednio wchodzą w kolizję z urządzeniami i mechanizmami „budując” owe statystyki wypadków.

I na to dowody. Jeszcze dwa lata temu, w naszym kraju były tylko 3 zakłady — dodajmy „sztan-dardowe” — w których robotnicy byli poddawani specjalnym badaniom psychologicznym. Badania te zmierzają poprzez wypełnianie specjalnych testów oraz przeprowadzenie pewnych doświadczeń towarzyszących do ustalenia, czy dany robotnik reaguje odpowiednio na określone bodźce, czy po prostu umie sobie kojarzyć pewne drobne zjawiska czy zachowuje się odpowiednio w trudnej sytuacji wymagającej szybkiej decyzji i precyzyjnego działania. Są to badania dosyć

skomplikowane: w ciągu 10 minut trzeba wypełnić specjalne tablice Couviego, wypada również się do specjalnej aparatury wynalezionej przez Piórkowskiego i naciskać różne wyłączniki i włączniki w taki sposób jak to dyktują strzałki i wskazówki, a potem jeszcze przychodzi aparat Mcedego i dziesiątek innych towarzyszących badań, których tajemnicy nie mogę tutaj zdradzić.

Tak, to jest właśnie ten egzamin, któremu poddaje się, a raczej POWINNO SIĘ poddawać robotników, nim staną oni przy maszynach. Jest to „lusterko”, w którym naukowcy — specjaliści po trafi bez trudu i precyzyjnie ustalić rzeczywiste możliwości danego człowieka, potrafi stwierdzić czy w momencie specjalnie trudnym podejmie on słuszną decyzję, decyzję, która uchroni jego oraz towarzyszy pracujących przy innych maszynach od tragicznych skutków katastrofy.

I tutaj wypada dodać jedno słowo: NIESTETY.

Niestety, w tej chwili w Polsce niewiele prowadzi się prac w tym zakresie i chyba na palcach dłoni jed



nego człowieka daloby się policzyć te zakłady, w których obok instruktora od Bezpieczeństwa i Higieny Pracy działa psycholog. Wiem, że takie badania były prowadzone w Hucie im. Lenina, a ostatnio robiono je także w Fabryce Samochodów Osobowych na Żeranlu.

A Łódź?

Niestety, nie mamy się tutaj czym chwalić, bo jedynymi śladami działalności są próby Przychodni Medycyny Pracy, która boryka się jednak z ogromnymi trudnościami i jeszcze nie tak dawno nie mogła się do czekać wyposażenia w odpowiednią i wcale nieskomplikowaną aparaturę. Jeżeli chodzi o praktyczne działanie, to tak „na siłę” można by uznać badanie przeprowadzone w ZPB im. Marchlewskiego oraz wśród bractwa Zakładów im. Kunickego. Do takich prób nie zaliczyłbym natomiast specjalnego skryptu wydanego przez Wojewódzki Klub Techniki i Racjonalizacji, gdzie wśród kilku wykładów znalazł się także omawiający zastosowanie psychologii pracy w przemyśle. Skrypt ten adresowany do członków rad robotniczych i zakładowych oczywiście nie mógł przynieść oczekiwanych rezultatów, a już tym bardziej nie można uchronić człowieka nie nadającego się do wykonywania określonych zadań od kolizji z maszyną czy urządzeniem.

\*\*\*

Dosyć to smutny obraz. Dziedzina, od której chyba najbardziej zależy, czy czołowiek obsługujący w fabryce maszynę będzie się przy niej czuł bezpiecznie — dopiero raczkuje. Mówiąc prawdę, chyba w większości zakładów, i wśród kierownictwa niewiele jest takich, które by przyjęły za fabryczną bramę psychologa.

„Odgłosowy” Sceptyk kwestionuje ów „palec boży”, który dla wielu jest siłą sprawczą i przyczyną dla owej tragicznej statystyki wypadków w Polsce.

Niżej podpisany również. Wypadki przy pracy nie powstają z winy samych poszkodowanych, albo z przyczyn od nikogo niezależnych. Nie stoi za nimi także „palec boży”, lecz człowiek, jego niewiedza, brak umiejętności i odpowiedniej dyspozycji.

I człowiek może temu zaradzić. Nie „palec boży”, lecz psycholog, jeżeli otworzą się przed nim fabryczne bramy.

KRZYSZTOF  
POGORZELEC

MAREK GRÓŃSKI

## KONSERWA\*)

Oto klasyczny już dziś dowcip rosyjski: Lokal kategorii S. Przy stoliku dwóch oficerów. Zjawia się kelner. Sakramentalne: co dla panów? Oficerowie ryczą na całą salę: — Szampanskoie i frukty! Kelner zgina się w ukłonie. — A konkretno? — Wodka i ogurcy! Wydawnictwo Łódzkie. Autorzy: Afanasjew, Brudziński, Doroba, Huszcza, Safrin, Słobodnik. Tytuł: „Puszka satyry”.

### A KONKRIETNO?

Zaczyna się od tzw. szaty graficznej. Wydawnictwo zaprosiło do współpracy jedynie dwóch profesjonalnych grafików karykaturzystów. Pozostałe tomiki (z wyjątkiem może ilustracji do „Glupców z Glupsk”) straszą pseudonowoczesnym kiczem, robionym pod Paryż i pod siebie. Mimo woli nasuwa się pytanie, czy czelodni plastycy w ogóle wiedzieli, co i kogo ilustrują? Skąd np. na okładce „Puszki satyry” wziął się kotek? Symbol? Istotnie, pazurki kociny są starannie przycięte.

Przypadkowość opracowania graficznego poszła w parze z przypadkowością wyboru tekstów. Nie chodzi o to, iż autorzy nie widzą nowych tematów, Rzecz w tym, że widzą oni stare tematy w sposób grzeczny i ulizany. Jest to satyra trnaca na głębokość naskórka. Galeria postaci z satyrycznego lamusa. Raz jeszcze krwawa satyra na kelnera:

Cheć w restauracji darsza na maśle,  
lub w pomidorze.  
Ale nie zjadam, bo dziś „kolega”  
Jest w złym humorze.

Gadułę:

Najgorzej, gdy na zebraniu  
Na wiecu lub na naradzie  
Tak się dzieje,  
Ze wode leje i leje  
Byszeżący lub nie byszeżący  
Kurek — radający  
Płynnie zebranie, narada,  
A kurek wciąż gada i gada...  
Ot i cała ballada.

Pijaka:

Prosiła żona pijaka: „Idźcie po wódkę”  
Odpali: „Pojdę, bo do niej wszystkie drogi krótkie!”

Kacyka:

Za biurkiem siedziało rozparte jak Nero  
Zero.

Zepsucie obyczajów:

Pół panien, pół mężatek —  
Oto cały półświatek.

Jest to twórczość satyryczna wywodząca się z epoki z a n i e m o w i e n i a społecznego (termin ukuły przez J. Pomianowskiego). Twórczość obustalunkowa i seryjna. Stąd liczne analogie z utworami innych autorów. Dla przykładu: fraszka Ryszarda Doroby z tomu „Lechtanie Hioba”

Ja

Na każdym etapie  
Po głowie się drapię.

Fraszka barona Leca:

Człowiek na każdym etapie  
Inaczej się w głowę drapie.

Fraszka Ryszarda Brudzińskiego:

O Jednym

Na każdym etapie  
Chrapie.

Przypadkowością wyboru tłumaczy też należy chyba fakt, iż w wydanych tomikach znalazły się tak odkrywcze aforyzmy, jak ten:

„Kobieta jest jak damska torebka — nie można w niej znaleźć tego, czego się szuka”.

I fraszka o treści ogólnofilozoficznej, w rodzaju:

Zwyczaj

Nie jada się żuru  
W kręgu abażuru.

Wrażenia wierności i drętwości owej satyry potęguje język utworów. Autorzy nie są mistrzami, ale raczej dyktorami słowa, co tylko w jednym przypadku można zrozumieć i wytłumaczyć.

Brak tematyki współczesnej rozumianej współcześnie starają się autorzy pokryć chwytami formalnymi. Na zasadzie chwytu zbudowany jest cały tomik Janu Huszczy — wybór wierszy rzekomego Kaliksta Lasiczki. Chwyt to zresztą nie nowy.

Z całej zawartości „Puszki” na uwagę zasługują moim zdaniem dwie książeczki „Glupcy z Glupsk” — Safrina i „O człowieku, który witał się nogą” — Afanasjewa.

Safrin wkrzesza świat żydowskiego dowcipu. Jego wierszowane „mądrości żydowskie” są uroczą staroświecką. Bawia. A czegoż można wymagać więcej?

Afanasjew natomiast zaskakuje, gorszy, wydziwia. Przy pozorach chaosu i roztrzęsania jest to jednak proza precyzyjna i logiczna. Autor jedynie udaje, iż bierze udział w beztróskiej zabawie w wielkie Nic. Prawdziwy Afanasjew jest połączeniem wyobraźni i chłodnego, sceptycznego dowcipu.

Z mariażu tego rodzą się znakomite groteski: „Krótkowidz” i „Amant filmowy”.

Dwie interesujące pozycje i cztery niewypały. Za to wydawnictwu przybył argument, iż broni interesów środowiska. Mój Boże! Jest w tym pewna prawidłowość. Przypomina mi się historyjka, którą mi ktoś kiedyś opowiedział. W USA wydrukowano program pogrzebu I klasy. Po mowach i marszach żałobnych nastąpić miało „ciche spuszczenie do grobu”... Ano, można i tak.

\*) Puszka satyry.

Afanasjew. z Sopotu — O człowieku który witał się nogą. Ryszard Brudziński — Fanaberie. Ryszard Doroba — Lechtanie Hioba. Jan Huszcza — Kalikst Lasiczka — Wiersze wybrane. Horacy Safrin — Glupcy z Glupsk. Włodzimierz Słobodnik — O panu irreku schowanym w szafie i inne ramotki. Wydawnictwo Łódzkie 1962.

WOJCIECH KAWIŃSKI

## PRZYPOMNIENIE

Zanim otworzysz oczy po raz drugi Pomyśl  
O swojej bezwładności  
Kancelastej z pyłem  
Przedmiotów Z echem światła Ręka  
Dotyka podłogi Krawiat  
Zwisa z krzesła W głębi  
Korytarza (Mieszkaś w nim  
Od urodzenia się pamięci)  
Stukają zegary ciemności czujne  
I wydrżone Kwiaty  
Gromadzą swój ostatni zapach

Już możesz myśleć Sam  
Bez świadków Po tym  
Gdzie byłś  
Twoje ciało  
Zostawi pieczęć

Kruchą młędzy stąpaniem wiatru  
I nictwiałą



## SMAK POPIOŁU OTWARTY

Smak popiołu otwarty Uśmiech  
Jest w tym wnętrzu świecącym  
Uśmiech rzeczy najprostszych Jak  
Rozpostarta na krawędziach powietrza  
Gwiazda suchości Płyn  
Mariwa arko świtu poprzez  
Granice lasu loty ptaków rozproszonych  
Rzecz opisane zaczyna się Szrama  
Na lejącym kamieniu Kogo  
Trafi jego krawędź  
Pień staje się  
Elementem wody Komín  
Dymi hucząc Przez niego  
Po gęstości powieki  
Trzeszcząca warstwa popiołu —

## DWIE STRONY

Prawdziwa strona zamknięta  
dłoń rośnie we włosach nocy  
zamknięta księga przebaczenia  
ciężka jak kamień oczu

Zapomnieć łatwo przychodzi  
dźwięk liter które wiatr porwał  
zamknięta księga obłoków  
dosięga zgasłego morza

A kiedy drzewa poczerwiałe  
jak cielska zwierząt zaczyna rosnać  
zamknięcie się księga niepisana  
z gorącym śladem stopy bosej.



Karkonosze — Harrachov

„I ta krawcowa, słyszy Pani, wzięła i poroniła się”. Jak co dzień przez sen do latują strzępki rozmów. Sąsiadki z Krakowa wypełniają ranek wesołym świergotem. Przecieramy oczy. Za oknami zachmurzone stoki górskie. Schodzimy na śniadanie. Jadaliśmy jak i cała willa pełna jest secesyjno-junkierskich akcesoriów. Przeważają akcenty myśliwskie. Zmumifikowane połowy ptaków naklejone na olejodruki. Iluż pięknych mocnych wzruszeń dostarczać musiały mieszcuchom niemieckim! Ta na przykład autentyczna jaszczurka wpełchnięta w dziób czapli! Podobno willa należała do Ewy Braun. Tak przynajmniej za ręką wczasowicze. „Ależ oczywiście proszę Pana, ta dziura w adamaszku (wyło-

tejszej Piotrkowskiej, którą tu nazywają ulicą Bieruta, znikają ostatnią wczasowicze, pojawiają się zaś autochtoni, nierzadko na czworakach. Nie krzywdźmy autochtonów, świeżej zresztą daty. W trzeźwym widzie odznaczają się duża jak na nasze stosunki uprzejmością, a nawet serdecznością. Budzi się w nich nawet patriotyzm lokalny. W ich mniemaniu Świeradów to San Moritz. W ślad za miłymi słowami nie zawsze idą produkcyjne czyny. W okolicy sporo jeszcze ruder, ugorów, zapuszczonych sadów. Podkradaliśmy z nich jabłko, bez przeszkód ze strony właścicieli i ich psów. Są jeszcze i inne drogi w Świeradowie, tylko nieuczestniczące. Droga do księgarni i w góry. „Proszę Pa-

WOJCIECH DRYGAS

## CZŁOWIEK BEZ NAZWISKA

Znałem go dość powierzchownie. Był to osobliwy młodzieniec, wyposażony w krótką brodkę, twardą i kędzierzawą, jak włosie do wypychania tapczanów. Miał wygład nieznajomego poety, co to kradnie Panu Bogu, chociaż uchodził mógł także za producenta eliksiru do włosów. Niektórzy utożsamiali go z osobą pewnego amanta filmowego, inni gotowi byli przypisać, że to zwyczajny hulańc.

A w ogóle — to nikt dokładnie nie wiedział kim był w jakich okolicznościach pojawił się po raz pierwszy w studio telewizyjnym. Wpuszczano go tam bez zastrzeżeń o każdej porze dnia i nocy. Dyrektor bowiem był święcie przekonany, że nieznajomy jest bliskim przyjacielem głównego reżysera; reżyser sądził, że to kuzyn pierwszego kamermana; kamerman podejrzewał go o intymne stosunki z sekretarką; sekretarka posadzała o to samo spikerki; spikerki depatrywały się w nim współpracownika jednego z redaktorów; ów redaktor — człowiek bystry — przypuszczał, że facet z bródką reprezentuje służbę śledczą, o czym rzecz jasna, poinformowany jest woźny; tymczasem woźny gubił się w domysłach, czy nieznajomy może być kolegą dyrektora, czy raczej bratem operatora dźwięku.

Z biegiem czasu osobliwy młodzieniec przestał wzbudzać zainteresowanie. Przyzwyczajono się do tego, że zjawiał się w studio punktualnie przed każdym seansem, że zajmował bez pytania wolne miejsce w kabinie reżysera i, nie zwracając na siebie zbyt wiele uwagi, trwał tam jak żołnierz na posterunku.

Należał raczej do ludzi nie-

towarzyskich i z nikim bliżej nie przestawał. Czasami tylko nachodził go wylewny nastrój, a zdarzało się to za każdym razem, gdy spektakl był po-

dły i zły. Wtedy on, jak się

— Ja bym to zrobił inaczej.

— szeptal mi do ucha i mrucząc oczy dodawał: — Nie sądzi pan, że reżyser bardzo źle wygląda? Jakoby tak ostatnio zmierzniał. Gdyby zmarł nagle na paraliż, mógłbym zająć jego miejsce.

Innym razem zauważył:

— Operator dźwięku, ma dziwnie wydłużony nos. Nie, nie chce być złym prorokiem — mrugał oczami — lecz pcha mi się to samo do ust: czyżby trawiła go nieuleczalna choroba? Chętnie bym go zastąpił.

Kiedys, ujął mnie serdecznie pod ramię i spytał: — Czy to prawda, że kamerman cierpi na nieżyłki kiszek? Tego rodzaju doległości kończą się zazwyczaj tragicznie.

Interesował się także zdrowiem dyrektora, woźnego, szefa produkcji, dekoratora, etowego strażaka, starszego redaktora, elektryka, wiadździ „a... W nagłej potrzebie mógł sprostować każdej funkcji, podobać najtrudniejszą obowiązkowo. Odsunął się od niego któregoś dnia, ponieważ spostrzegłem, że przyglądał się badawczo do charakterystycznym mruganiem oczu. Nie miałem żadnych złudzeń: oczekiwał również i mojej śmierci.

A mimo wszystko, nikt w

telewizji nie umierał. Szansa

nieznajomego z bródką mala-

ła. I gdy zdawało się, że w-

rzekł się on już swych pra-

nień, nastąpił fatalny wście-

kiedy na kilka minut przed

rozpoczęciem audycji, opera-

tor skonstatował z przera-

niem:

— Panowie, nie mam wizji!

Kabel nie kontaktuje!

Był to okrzyk tak niespo-

dziewany, a przy tym tragicz-

ny, że zrazu wszyscy posna-

dali z krzesel. Odnajmy pa-

ni-ce nie oddał się tylko fa-

ci z bródką. Szczęśliwie los

obdarzył go okazją do dzia-

nia.

— Chcecie wizji? — zamru-

gał desperacko oczami? — Ja

wam ją dam!

Jednym sussem podskoczył

do ślepej kamery, zgarnął re-

koma kabie i w tejże samej

chwili — padł trupem na

ziemię.

Te smutna okoliczność na-

leżała, pokwitować uroczystym

nekrologiem: „Zginął na po-

sterunku porażony prądem

elektrycznym w wieku...”

Nikt jednak nie potrafił

wyjaśnić ile miał lat, jak się

nazywał, co robił i z czego

żył. Okazało się bowiem, że

nie był on ani bliskim przyja-

ciem głównego reżysera, ani

kuzynem pierwszego kamer-

mana. Nie go nie łączyło z

sekretem, a spikerki nie zna-

ły nawet jego imienia. Nie

wiedział go „akże żadna współ-

praca z owym bystrym re-

dykatorem. W błędzie był tak-

że woźny, który do ostatniej

chwili gubił się w domysłach,

czy wpuszcza do studia kole-

dyrektora, czy brata opera-

tor dźwięku.

Kim był ów osobliwy mło-

dzieniec z bródką? Miał wy-

gład nieznajomego poety,

choćby uchodził mógł także

za producenta eliksiru do

włosów. Niektórzy utożsamia-

li go z osobą pewnego aman-

ta filmowego. Inni żarliwie do-

wodził, że to był zwyczajny

hulańc.

Ta ostatnia opinia, że

złogłód oszczędnościowy,

przeważała. Nekrologu nie

ogłoszono.



Do „Lapskiej Boudy”. Już

niedaleko. Cóż kiedy schro-

nisko w remoncie. Jegomość

w kitlu tłumaczy z czeska

po węgiersku, że na szczy-

cie Krakonosy są aż cztery

„boudy” i tylko godzina

drogi. Zapada zmrok. Zim-

no jak diabli. Naturalnie gu-

bimy ślad. Chmury opusz-

czają się na zbocza, także

szukają noclegu. Krajobraz

pelen grozy jak z ilustracji

Dorrego, „Czy Pan wie,

że w 1622 r., w noc święto-

jańską, dwunastu mężczyzn

i dziesięć kobiet zamarzyło

tu na śmierć” — mówi znaw-

ca dziejów Liczrzepy. „Dla

tak pięknego widoku warto

nawet zamarznąć” — zauwa-

ża taternik. „Mam gdzieś

piękne widoki”. „A ja Li-

czrzepę”. „No, niech Pan

uważa, bo właśnie Krako-

nos to po czesku Liczrzepa

i to jego legendarny szczyt”.

Tak dysputując zgubiliśmy

do reszty drogę. „To dlate-

go, że pan go przed chwilą

obrazil” — irytuje się Licz-

rzepoman. Uwaga, człowiek

na horyzoncie! Idziemy tra-

wersami w jego kierunku.

I znajdujemy owe cztery „bo

udy”. Jest ciepło, przytul-

nie, można nawet przezytać

„Kraj Rad” po czesku.

Wypoczęci, pokrzepieni

wami, wracamy rano do

„Lapskiej Boudy”. Przed

wodospadem Laby napis:

„Wodospad uruchamia się

po wpłaceniu 50 halerzy”.

Tanio. Ale nie płacimy. I

tak jest wspaniały.

Chmury się rozstępują.

Krajobraz nie do opisania

Muskają nas skrzydła his-

torii. Tędy schodził w do-

liny czeskie Bolesław Krzy-

wousty, z tych żródeł pił

helmem wodę. Pijemy i

my. Szkoda, że nie możemy

spełnić dawnej obietnicy.

Do wodospadu wrzucano czer-

wonego koguta dla przebla-

gania złych duchów i Li-

czyrzepy. Toczmy pogawę-

kę z restauratorem w „all-

gemeine slawische Sprache”.

Stromy uskokami schod-

zimy do Spindlerowego

Młyna. Jaka szkoda że je-

den z nas jest poeta. Nie

wolno mu opisać piękna o-

taczających nas gór. Poeta

współczesny, jak wiadomo,

pod rygorami związkowymi,

musi zajmować się wyłącz-

nie poszukiwaniem definicji

artystycznej dla własnej

rozczarowanej jaźni.

W Spindlerowym Młynie

domy jak z bajki. Wyglanso-

wane, ozdobione jak wiel-

kie pudła z perfumami.

„Wodkę macie?” — pytają

się przechodnie. Nie słysze-

li o takiej złotej myśli.

Gromadą ludzi przed zam-

kniętym sklepem (przerwa

południowa ma się właśnie

ku końcowi) to także roda-

cy. Wycieczka ze Szklarskiej:

Coś trzeba przecież kupić

panowie. Po cóż by się je-

chało za granicę! — „Skąd

pani tak dobrze umie po

polsku?” zwracamy się do

ekspedientki — „Ależ panie,

jak się ma tylu klientów

z Polski?”

Jeden z nas kupił nawet

trampki. Włożył je na no-

gi, a zużyte, ładnie zapak-

owane zostały na przystan-

ku autobusowym, dla ba-

dań socjologicznych. Chwy-

cilo. Kiedy po kwadransie

wróciliśmy paczki już nie

było. Teraz problem. Kto

gwizdnął? Czesi czy nasi?

Powrót do kraju. Pierwszy

od dwóch dni uśmiech, na

tworzy wopisty. (CZESI są

zawsze sero). Zbiegamy do

mikrobusu i po pół godzi-

nie jesteśmy w Jeleniej Gó-

rze. Autobus do Świerado-

wa dopiero za dwie godzi-

ny. Noc, Jelenia Góra chędi

na czworakach. Nad odbu-

dowanym słynnym rynkiem

renesansowym transparent:

„Dni Jeleniej Góry”. W res-

tauracji nader aktualny na-

pis: „Nie knij, a jeśli już

musisz, nie mieszaj do tego

cudzych matek”.

O północy jesteśmy znów

w „willi Ewy Braun”. „Mo-

ja pani, Austriacy to dbali

o Rynek Mariacki. Jak wy-

brukowali, to do dziś dnia

było dobrze. A nasi to mu-

szą zaraz wszystko psuć i

dawać płyty. A wie pani, ile

taka jedna płyta kosztuje?

Osiem tysięcy złotych pol-

skich. Tak pani.”

Nazajutrz głosy zza ścia-

ną budzą nas jak co dzień.

Przez okna śmieją się sto-

ki górskie. „Przeciera się,

daje słowo, że się przecie-

ra”. Tym razem naprawdę

przetarło się.

ALEKSANDER POSTOŁOW

## O CZECHACH, WCZASOWICZACH I WYMOWNYCH KRAKOWIANKACH

żono nim ściany w jadalni) to ślad po widelcu, którym Hitler w klótni cisnął w piękną Ewę”. Rozmówca nie wie, czy kpimy, czy mówimy serio i na wszelki wypadek wychodzi.

W Świeradowie wszystkie drogi prowadzą do barometru. Tu ujawniają się różnice postaw. „Przeciera się, słowo daje, że się przeciera” mówi optymista. „Portki na d...” — replikuje ponurak. Wymiana zdań na temat pogody i pogawędka z pobliskim kłeskarzem o jakości pocztówek to ustalony codzienny rytuał.

Dalsza droga prowadzi do okazałej z fin-de-sièclowym wdziękiem urządzonej pijalni. Ogromna drewniana hala to centrum życia kulturalnego i towarzyskiego uzdrowiska. Tu drogi wczasowiczów rozchodzą się. Jedni spieszą do kolejk przy źródle, jeśli oczywiście nie jest tego dnia w remoncie, potem piją powoli, z namaszczaniem, przy kolorowych stolikach. „A wie Pani, dziś na obiad mieliśmy barszcz z kartofelkami” — toczy się codzienna rozmowa — inni wędrują do kawiarni zdrojowej, gdzie każdego po południu zespół doborowych chałturzystów ustawicznie gubi i odnajduje takty w „Marzeniu” Schumana.

Po godzinie 20-tej z tu-

ni czy jest książka takiego to, a takiego” pyta Chróścielewski jak umie najobojętniej o własną książkę. „Jadźka, pomóż szukać, autor przyszedł” słychać szepta za półkami. Po czym, u diabła, księgarz zawsze pozna autora?

Jesteśmy przedmiotem ustawicznego zdziwienia i wzruszania ramion. „War-laci — czy im płacą za to łażenie?” W trójkę tropimy ślady Liczrzepy, ja z Chróścielewskim i referent skarbowy, bardzo łagodny na urlopie. Raz zdawało się nam, że odkryliśmy średnio-wieczną sztolnię walońska.

Po halach uganiają się konno wopisci. Oni jedni hołdują tradycjom polskiej kawalerii. Są rozmowni i uprzejmi jak obsługa uzdrowiska — „Idzie teraz szmugiel do Czech?” „Bywa, ale teraz nie to co dawniej, panie. Czasem ot chłopak zadurzy się i przelazi do Czech”.

„Przeciera się, słowo daje, że się przeciera”. „Portki na d...” replikujemy i zrezygnowani jedziemy do Mirska. Renesansowy rynek w odbudowie. I to jakiej! Dosłownie fasadowej. Oto frontowa ściana, obrzucona kolorkami. Przypomina rekwizyt filmowy markujący dom. Z tyłu gruz. Zresztą i tam, gdzie kamic-

niezki są

# „NIE ZALEWAJ RODAKA” w Teatrzyku „50 krzeseł”



Zygmunt Malawski i Janusz Kubicki w trakcie starannie przygotowanej improwizacji.



Na zdjęciu: (od lewej) Zbigniew Niewczas, Zygmunt Malawski, Hanna Bedryńska, Seweryn Butrym, Janusz Kubicki.

Teatrzyk „50 krzeseł” (Teatrzyk „Karuzeli”) przygotował nową premierę, tym razem również eksperymentalną. Jest to składowka o tematyce — monopolowej: „Nie zalewaj rodaka”.

Interesujący ten eksperyment polega na połączeniu elementów tekstu, mówione go przez aktorów, oryginal-

nych nagrań z Izby Wyrzeżeń, ilustracji muzycznej na butelkach, improwizowanych partii mówionych oraz karyktur robionych na żywo.

W przedstawieniu, o którym jeszcze napiszemy, tym razem udział biorą świetni aktorzy.

R. ŁOBODA

## AGONIA

Tedy morze mnie ogarnęło  
a było jak skała  
wryte wiatrem i bielą osypane

Tedy otoczyła mnie skała  
a była jak pustynia  
świszcząca i nieuchwytna

Tedy otoczyła mnie pustynia  
a była jak horyzont  
przesuwany oczami

Tedy zamknęły na dnie  
bursztynem byłem wołającym  
o światło życia

JAN BABIŃSKI

# Czy Kanada leży nad Wolbórką?

Platanina drewniaków, ubiegłowiecznych czynszówek. Rudery latane blachą, smogła, platami desek wyrwanych z parkanu. Na wznie-sieniu dumna fara, jej wie-życe przegładają się w sta-wie. Wiekowa świątynia, jednemu w niej dzwonią, innemu śpiewają, wszystkim kończą nieszpornymi. W jej murach wznosił modły Andrzej Frycz-Modrzewski, odszedł i na długo zrobiło się pusto w mieście. Po-tem Brzeziny odmłodziły straganami żydowskich kup-ców. Wreszcie miasteczkiem zawiadnęli krawcy i to bez reszty. Mieli pod ręką żelaz-ko, płótno, mydło i sukno, rzadziej lustro, zawsze „Sin-gera”. Co za krawcy, niech to licho porwie, Europa o-twierala usta ze zdumie-nia, szyli parę spodni za je-dne 50 groszy. Najtańsi kraw-cy w tej części świata, dzierżyli palmę pierwszeń-stwa aż hen, po Pireneje i Ural. Przywiedli to była palma, pochylona, nieled-wie płacząca jak te wierzy nad pobliską Mroga, ale zaw-sze palma.

Minęło, rejestr zamknięty. Przy szosie do Rawy strze-lił gmach smukły, lekki, god-ny Marszałkowskiej. Tylko, że nie zdążył jeszcze obe-szcząć, a ze ścian wylaża szeszeliny na łokieć. Podłogi też już trzeba zmieniać.

Urzędnik przed gmachem spojrzął na mnie kąpięco:

— Jak by nie było archi-tekt zlapał za nadzór nad budową kilkadziesiąt „paty-ków”. Oblawili się, tylko że ten jego nadzór już nam bo-kiem wychodzi. Lupią skórę ci architekci, oni i lekarze na wsi.

Lekarze. Ich powiatowy szef urzędował na piętrze. Nie zastałem go, urlop, zas-tępca zaczął od wysokiego „C”. Nie powiem, było się czym chwalić. Gdzie spojrzeć nowe ośrodki zdrowia, przy-chodnie, ambulatoria, gabi-nety. Na chorych we wsiach zarzucono sieć gęstą, oczka w niej solidne. Droga do lekarza z najbliższej wiosz-czyny bardzo prosta, odle-głość 6-7 kilometrów. Zas-tępca mówił, mówił, ja chy-ba z przekory zapytałem ni w pięć ni w dziesięć.

— A znachorzy jeszcze są w wioskach?

— Owszem, mamy i do-brze się im wiedzie — pa-dła nieoczekiwana odpo-wiedź. — Najsiłniejszy z nich przyjmuje w Podłodo-wie koło Dębina. Daleko, lu-dziska walą jednak do nie-go jak w dym. Pewien rol-nik z Celigowa, chłop niby na poziomie, a też poje-chał do tego cudotwórcy. Wrócił z niczym. „Trudno się dostać” opowiadał sąsia-dom. Pojechał jeszcze raz, przywiózł torbę ziół. Byłem niedawno w Celigowie, pa-trzę, trumnę wynoszą z izby. Zdaje się, że pan w spra-wie powiatowej służby zdro-wia?

Przytaknąłem z waha-niem.

— Wobec tego radziłbym zajrzeć do Rokicin. Lekarz tam stary, doświadczony. Warto też porozmawiać w Zawadzie z tamtejszym fel-czerem. Poprzednio, w Ko-lacinie, nazywano tego fel-czera profesorem. Nie do-wiały jak łatwo ludzie przywiązują się do kogoś. Gdy felczer z Kolacina od-chodził, mało tam nie do-szło do zamieszek. No cóż, ten profesor, chciałem po-wiedzieć felczer, musiał przecież ustąpić miejsca lekarzowi. Kwalifikacje...

Gładka szosa biegła bo-rem, gdzieś gdzieś spoty-kaliśmy kobieciny z koszy-kami grzybów. Ale oto koń-

czy się las i ukazują się pierwsze chałupy Rokicin. Jeszcze tylko magazyn wę-gla, okólnik pełen bara-nów, sznur furmanek wy-mierzony w zamknięty szla-ban. Wreszcie ośrodek zdro-wia, też chałupa, tyle że czysta, bardziej przestronna. Wybiła 11.00 lekarz zabierał się akurat do wyjścia.

— Niezły plon — skrzywił się — przez 3 godziny zba-dąłem 26 pacjentów. To pół biedy, cała bieda zwala się jesienią. Począwszy od paź-dziernika będę musiał co-dziennie przyjąć około 40 chorych. Rolnicy chorują przeważnie jesienią. Choro-by te same co w mieście, żadnych różnic: nadciśnie-nia, reumatyzm, choroby ser-ca, przewodu pokarmowego, no i rak. Wielu kieruję do szpitala. Jeszcze kilkanaście lat temu załamywano ręce

— „Jakże to, panie dokto-rze, to mamy iść do szpi-tala na umarcie?” Dawne czasy, ale z odżywianiem wciąż niedobrze. Więś je dziś dużo, lecz nie to, co powinna. Jedno w kółko, ziemniaki, żurki, chleb, tro-chę okras. Gdy ubiję się świniaka, cała rodzina opy-cha się mięsem, peklowa-nym, czasami nadpsutym. Wszyscy jedzą bez opamię-tania, a potem długo nie. Jarzyn jak na lekarstwo, zimą prawdziwa tragedia, jedyną jarzyną jest kiszka-na kapusta. Takie jedzenie bez witamin.

— A młode pokolenie?

— Chodzi na lekcje bez dru-giego śniadania i nie pije mleka. I radz tu sobie póź-niej z krzywą i próchnicą zę-bów. Przeszło 90 procent dzieci cierpi na zaawanso-waną próchnicę. Gospodynie są na wsi załatane, zaharo-wane, już z nawyku nie zwracają uwagi na dzie-ci. A potem przychodzi do mnie chłopci wyschnięci na trzcinę, wkleśnięte policzki, zapadłe oczy, stawiają teraz takiego na nogi tabletkami. Bzdura, Bieda, ubóstwo? W żadnym wypadku. Prawie 60 procent rolników z tych o-kolic dojeżdża do pracy w Łodzi. Niech tylko kłosa doj-rzeją w polu, niech tylko zaczyna się wykopki i rusza od razu „karuzela”. Ci ro-botnicy — chłopci pędzą wte-dy do mnie na złamanie karku i proszą o jedno, o zwolnienie z pracy w fab-ryce. Iluż z nich ma talenty aktorów, wywodzą w pole ani się obejrzą. Ucieka-ją się do wybiegów, sztuczek, tego wszystkiego co się nazywa symulantem.

— Czyżby nie każdą cho-robę dało się rozpoznać?

— Sprawa jest cienka, najbardziej delikatne grupy zachorowań to zapalenia korzonków nerwowych i bó-le ischialgiczne. Przychodzi taki obywatel do mnie, sztywny jak pień, nie może się zgłąć, ani skrócić szy-ję. Stoi jak ten słup. Jes-tem wtedy w kropce, wie-rzyć, że chory, czy nie wie-rzyć? Prawdę mówiąc, zu-pełną pewność mogą dać dopiero dłuższe badania. Niekiedy ci chytrusi wpadają w dziecienną pułapkę. Przy ischiasu i związanych z tym komplikacjach boles-ne jest tylko prostowanie kończyn. Nigdy ich kurcze-nie. Kiedy zginał komuś kolano, a ten ktoś wrzeszczy z bólu, to dla mnie sy-gnał, symulant. Trafiają się także cwaniacy oblatani, o-czytani, osłuchani, z takim dużym kłopot. Cóż, ziemia ich woła do roboty.

Dwie dusze chłopca, czyż-by przeszły nową inkarna-cję? Zmienili się przecież,

nie są już podobne do tych z podręczników. Chłopa cią-gnie dziś do fabryki, ciągnie też na swoje, do pluga. Zimą górę bierze dusza na-byta, fabryczna, latem ta chłopska, wrodzona.

— Co ze znachorami? — pytanie powtórzyłem po raz drugi tego dnia.

Lekarz spojrzął na mnie zaskoczony:

— Znachorzy, czy ich kie-dykolwiek brakowało? Nie-daleko stąd, w Bukowcu, działa tak zwany nastawiacz, składa złamanie, zwichnie-cia. Narobił już kalek na tużyni.

Niedawno z trudem odra-towałem 3-letniego chłopczy-ka z Michałowa. Dzieciak miał złamane udo i dostał się w łapy tego nastawiacza. Gdyby nie szybka interwen-cja chłopczyk zostałby in-walidą.

Znowu droga, od Koluszek szła na ukos, krajobrazem z pół i lasów. Tomaszów, na lewo Spala. Ziemia już goła, plony z niej sprzątnięte. Więś Zawada. Widok jak z bajki, jak z pocztówki. Roz-jasnione słońcem łagodne pa-górki, na horyzoncie bory, w dole szmerze Wolbórka, obok wije się gościniec. Ran-kiem turkoczą po nim chłop skie wozy, jadąc na targ do Wolborza. Sady, ogrody, ze-szwał dolatywał zapach jo-deł, klonów, Zagrody schlud-ne, rozłożyste jak szlachec-kie dworki.

W jednej z nich, pośród jabłoni — przyjmuje fel-czer. Uśmiechnięty, o po-wierzchności wzbudzącej od razu zaufanie. Gdy napomknąłem o Kolacinie, zachmurzył się:

— Miałem zawsze wątpli-wą przyjemność być „wy-robnikiem” — zaczął zgrzy-liwie — budowę ośrodka w Kolacinie zacząłem od pod-pierania drzwi miotłą. Gdy zaszło tak daleko, że ośro-dek stał się wzorowy, kaza-no mi się zabrać. Razu jednego z Brzezin przyjechał lekarz, popatrzył na mnie i rzucił niby żartem — „Doj-na krowa ten Kolacin, co? Wi-dzę, że kolega dorobił się już „Skody”, no, no, ten Ko-lacin to Kanada dla kole-gi”. — Miałem, czyż mia-łem opowiadać, że ten trup „Skoda” kosztował wszyst-kiego 20 tysięcy? Ze tłu-kiem się nim przez śniegi i zasy, w świętek i piątek, przez wertepy i mrozy? Nie znałem godzin, byłem na zawołanie w dzień i w nocy.

A ten doktor do mnie, że Kanada. Odszedłem z Ko-lacina, jak to powiedział z własnej woli, ale miałem przy tym dużo satysfakcji.

Słyszałem coś o tym. Dzień był wtedy ciepły, czerwcowy, przed dwoma la-ty. Na dworze przed ośrod-kiem zdrowia w Kolacinie stał przedstawiciel wojewód-zkiej służby zdrowia, obok felczer, przed nim falujący gniewem tłum. Pomstowano, żądano krzykiem, by felczer pozostał gdzie jest. Przedsta-wiciel zebrał się na śmia-łość i oznajmił, że felczer odchodzi przecież na włas-ną prośbę, że nikt absolut-nie nikt go stąd nie wy-gryza. Wystąpił też felczer, w ciszy pełnej oczekiwania, dodał, że istotnie odchodzi z własnej woli, przykro mu, ale musi, to jest chce na-prawdę odejść. Niczego wię-ciej nie pragnie. Tłum za-milkł. Felczer odjechał, lecz boje o niego toczyły się jeszcze długo na szczeblu po-wiatowym, wojewódzkim i dalej.

— Satysfakcję? — nawią-załem do poprzedniego wątku.

— Tak, to jest satysfakcja.

Moji dawni pacjenci z Ko-lacina i dziś jeszcze leczą się u mnie. Przez pół powia-tu jadą do mnie. Byłe mnie zostawiono teraz w spoko-ju. Tutaj też zaczynałem od początku, od stawiania ścian i tak dalej. Mam tu pod bokiem sąsiada, lekarz sta-ry, ze stażem, zerkna na mnie niezbyt przychylnie. Nie wiem czemu, bo lekarzy wciąż mało na wsi, pracy starczy tu dla wszystkich, na długie lata.

Czy ja wiem, może i praw-da. Nie każdy idzie prze-cież z zepsutym radiem za-raz do inżyniera. Czasami starczy technik, ba dobry, doświadczony rzemieślnik. Idzie o to by radio znowu zagrało. Najwidoczniej gra, skoro ruch w Zawadzie jak diabli, a w Kolacinie, pus-tawo. Podwórko przed oś-rodkiem jak wymiecione. A kiedyś stały tu furmanki, jedna przy drugiej...

Felczer zrobił ruch ręką:

— Niedawno obciął palec w sieczkarni gospodarzowi nazwiskiem Bąbol. Chłop po-szedł z prośbą do lekarza. — „Panie doktorze, wszyst-ko tylko niech pan nie ob-cina”. Doktor obejrzał rękę i chociaż widział, że palec wiszą tylko na kawałku skóry, obandażował je i ka-zał sobie zapłacić 300 zło-tych. — „Przyjdź pan za ty-dzień” — powiedział. Chłop przyszedł i znowu zapłacił 200 złotych. Nie wiem jak długo trwałaby ta zabawa, gdyby nie to, że chłop po-czuł ból. Soltys z Chorzecina mu doradził — „Idź le-piej do felczera w Zawa-dzie”. Bąbol przyszedł do mnie, zlapałem się za glo-wę, to nie były palce, a martwica czarna jak smoła. Posłałem rolnika natych-miast do szpitala w Brzezi-nach, tam z miejsca doko-nano amputacji. Stwierdzo-no gangrenę. Długo by mó-wić, wołałbym jednak nie rzucać nazwisk. Felczero-wo! taka mowa nie wycho-dzi na zdrowie.

Jakby w obawie, że i tak za dużo już powiedział, fel-czer zamilkł. Kto się raz sparzył, woli dmuchać na zimno. Już byłem jedną no-gą na ganku, zapytałem:

— Znachorzy, co z nimi?

— Chociaż lekarzy przyby-wa, to i znachorów namno-żyło się ostatnio bez liku — felczer spoważniał. — Pod moim bokiem, w Tomasz-owie, pracuje niejaki Kiela. Wypisuje nawet recepty na antybiotyki, sulfamidy, „Wo-woczesny” znachor. Co cie-kawe, państwowa apteka honoruje te recepty. Bóg z nim, mam inne zmartwienie. W okolicy mieszka 2.400 o-sób, w ciągu ostatnich 2 lat zanotowałem już 22 wypadki raka. Prowadzę ścisłą doku-mentację, zapisuję spostrze-żenia, chciałbym nimi za-in-teresować onkologów w Ło-dzi...

Dzień się kończył, nadcho-dził wieczór. Obejrzałem się, dworek stał na wznie-sieniu, wtulony w sad. Cisza, któ-ra daje złudzenie spokoju. W rzeczywistości wiele tu zawiści, która wciąż szuka nowej ofiary na wiejskiej scenie. Tu ciągle premiera, co jutro na afiszu? „Wygna-nie felczera”? To brzmi nie-źle, ale moim zdaniem, na-leży zacząć od wygnania znachora. Felczer i lekarz jeszcze długo będą musieli zgodnie współpracować, ta-ka jest konieczność.

A propos gmachu w Brze-zinach. Tydzień temu odwie-dziłem miasteczko powtó-rnie. Więcej się pocieszając i budując... Architekt tu-maczył się ponoć gęsto u prokuratora.

# THE SELFISH GIANT after Oscar Wilde

Every day, when the children were coming from school, they went to play in the Giant's garden.

It was a beautiful garden, with green grass and pretty flowers and big trees. The birds sat in the trees and sang all day.

— How happy we are here — the children cried to each other.

One day the Giant came back home and saw the children in his garden. He cried:

— What are you doing here?

The children did not answer. They ran away.

The Giant said:

— This is my garden.

He made a wall round the garden. He was a very selfish Giant.

Now the children could not play in the garden. They walked round the wall when their lessons were over, and talked about the beautiful garden on the other side.

They said to each other:

— We were very happy there.

\* \*

Then Spring came. There were little flowers and little birds in all the gardens. But it was winter in the garden of the selfish Giant. The birds did not want to sing in the garden, and there were no leaves and no flowers on the trees because there were no children in this garden.

# DER SILBERNE LÖFFEL

Es war in Wien, in der schönen Stadt Wien.

Ein junger Mann ging in ein gutes Restaurant. Dort saßen schon viele Menschen. Sie assen und tranken.

Der junge Mann setzte sich an einen Tisch und bestellte ein Mittagessen. Der Kellner bediente den Gast sehr höflich.

Das Mittagessen schmeckte dem jungen Mann. Jetzt wollte er bezahlen und nach Hause gehen. Aber in diesem Moment geschah etwas am Nebentisch.

Sein Nachbar, der am Nebentisch ass, versteckte nach dem Mittagessen den silbernen Löffel in die Tasche.

— Das ist ja schrecklich, — sagte der junge Mann. Er rief den Kellner:

— Zahlen bitte!

Der Kellner kam und der junge Mann bezahlte.

— Den silbernen Löffel nehme ich aber auch nach Hause, — sagte der junge Mann.

— Warum wollen Sie das machen? Das geht doch nicht, — antwortete der höfliche Kellner.

Der junge Mann sagte wieder:

— Ach, das ist nur ein Spass. Der Herr am Nebentisch wollte auch einen Spass machen.

— Ich verstehe Sie nicht, — sagte der Kellner.

Der Herr am Nebentisch nahm aus seiner Tasche den silbernen Löffel heraus und sagte:

— Hallo, Mary! Hallo John!

Then they play games in the yard.

When Andy goes home, he says to his friends:

— Good-bye.

And they say:

— Good-bye.

Sometimes Andy's grandfather and grandmother come in the evening. Then Andy says:

— Good evening, Grandpa. Good evening, Granny.

And when they go home, he says:

— Good-bye, Grandpa. Good-bye, Granny.

They kiss him and say:

— Good-bye, Andy. Good night.

When Andy goes to bed, he kisses his father and mother and says:

— Good night, Father. Good night, Mother.

Andy is a polite boy.



diesem Kleid noch schöner.

Die Verkäuferin sagte:

— Es steht Ihnen ausgezeichnet. Es sitzt wie angegossen.

Meine Frau war glücklich und sagte zu der Verkäuferin:

— Ich nehme das Kleid Bitte, stellen Sie die Rechnung aus.

— Bitte sehr. Die Kasse ist dort links, — sagte die Verkäuferin.

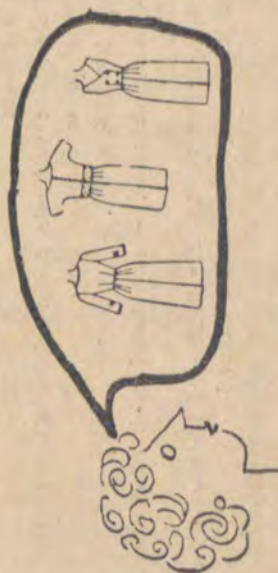
Meine Frau nahm die Rechnung und gab sie mir. Sie sagte:

— Bitte, hier ist die Rechnung. Ich habe kein Geld. Die Kasse ist dort links.

Ich wurde rot im Gesicht.

— Was fehlt Dir, mein Lieber? — fragte meine Frau.

— Nur das Geld, — antwortete ich kurz und setzte mich auf einen Stuhl.



# TADEUSZ PAPIER

gdalena

o rannej godzinie

19

„Nie nie knuję! — odpowiedziałam — A co miałabym knuć?“ „Ja już wiem, co“ — odparła Mariola. A ja na to: „Może będziesz tak dobra i zdradzisz ten sekret. Bardzo jestem ciekawa, co się wyegło w twojej mózgu.“ Ta krótka ale dosadna wymiana zdań pomiędzy mną, a Mariolą wystarczyła, aby obudzić podejrzenie ciotki. „Magda! Mów mi zaraz, kto dzwonił i w jakiej sprawie!“ — krzyknęła. „Niech ciocia spojrz w jej oczy, ona nie potrafi patrzeć wprost, ona ucieka ze swoimi oczami, Magda, ty zamyślasz coś cholernie nieprzyzwoitego!“ — zawołała Mariola. Rany, jakie były zgodne, jak zmówieni świadkowie przed sądem. „Nie lam się Mariola — powie-

działam — Dlaczego się łamiesz jak chamski szczyrtek? Skąd wiesz, czy ja również nie zgodziłam się u kogoś za pielęgniarke? Podobno Szczur zachorował.“ Zaledwie powiedziałam te słowa, już się pożałowałam. Mariola zakryła oczy ręką, a ciotka zawołała: „Magda! Ty naprawdę nie masz sumienia“. Nie na to nie odpowiedziałam, bo co miałam mówić, byłam jednocześnie zła i żal mi się zrobiło Marioli, rzeczywiście zachowałam się jak ostatnia kretynka. Nie chciałam przecież nikomu dokuczyć, zresztą nie muszę się usprawiedliwiać, pan zna mój stosunek do Marioli i do ciotki. Ale są sytuacje, kiedy człowiek myśli co innego, a mówi na przekór sobie i całemu światu. Mariola strzeliła celnie, ale dlatego właśnie że celnie, to ja się zachowałam jak ten facet, co skrzypce rozbił, bo nie mógł znieść więcej muzyki, chociaż za nią przepadał. Był taki film,

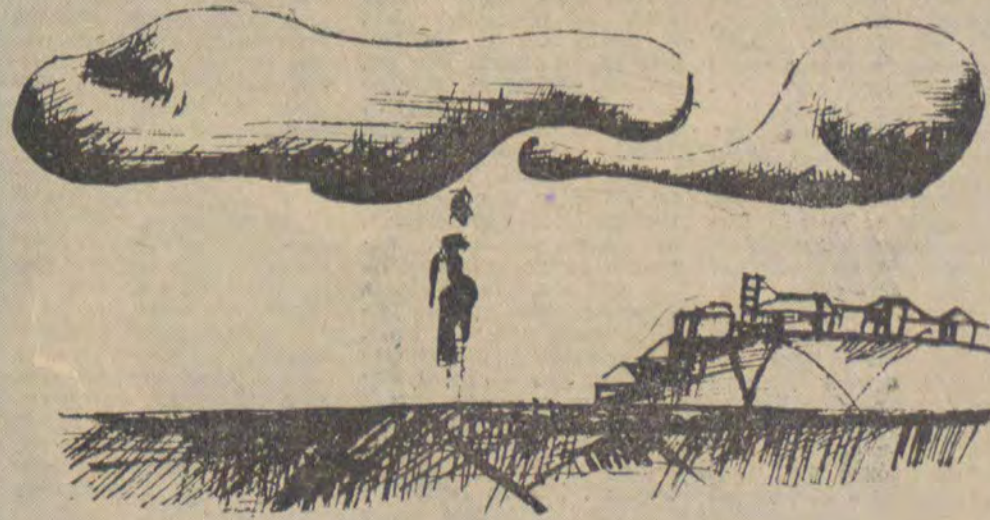
zapomniałam już tytułu. Niech się pan nie śmieje, wcale nie mam ochoty na żarty. Obiad skończyliśmy w ponurym nastroju i nawet te dwa kieliszki nie zdołały nas rozchmurzyć, Mariola pierwsza się przemogła i usiłowała zagadywać, ale już nastroj był jak w kaplicy przedpogrzebowej, nie trzeba więcej mówić. Odezwał się znowu telefon, ale tym razem ciotka mnie ubiegła, skoczyła do aparatu i podniosła słuchawkę, przy tym lypnęła na mnie okiem, że szkoda gadać. „Dzień dobry, dzień dobry panu profesorowi!“ — zaczęła się nagle mizdrzyć, domyśliłam się, że z Globusem rozmawia, no pomyślałam sobie, szkuje się nowa heca, stopniowo twarz ciotki zaczęła się coraz bardziej chmurzyć, nie nie gadała, wreszcie bąknęła „dziękuję, do widzenia“, położyła słuchawkę i klapnęła na krześle. „Dzwonił Geograf!“ — powiedziała do Marioli,

zwróciła się do niej, jakby mnie nie było — dzwonił i pytał się, dlaczego ta głupia gęś nie była wczoraj na lekcji. Cóż miałam odpowiedzieć, powiedz Mariola, co miałam mówić, czy ja wiem, dlaczego ona nie była, sił już nie mam“. „Cholernie nieprzyjemna sprawa!“ — powiedziała Mariola. „Czy ty wiesz, Mariola, o której ona przyszła? O drugiej w nocy!“ — rzekła ciotka. A Mariola na to: „Niech się ciocia nie dziwi. Wygląda na idiotkę i tak jest. Musimy pomyśleć o jakimś dobrym lekarzu.“ „Może byście się mnie wreszcie zapytały o coś!“ — powiedziałam. Ciotka aż podniosła ręce do góry. „Słuchaj, Mariola, ona ma jeszcze czelność gadać!“ „To do- bry objaw, ciociu, niech ciocia się uspokoi!“ — rzekła Mariola. „Boże święty! — powiedziała ciotka — każę zrobić klatkę w ogrodzie i w tej klatce ją zamknę, nie ma innej rady!“ Byłoby tak gadały do wie-

czora, a może i przez całą noc, gdyby nie dzwonek przy furtce. „Czekaj, ja pójde otworzyć!“ — krzyknęła ciotka, ale jej nie usłuchałam, już mi dopiekły tą gadaniną. Więc sobie nie robiłam z protestów ciotki, poszłam otworzyć i kogo zobaczyłam, niech pan zgadnie. Na ulicy stała Iśka, naprawdę to była Iśka, Boże święty, zdębiałam, „Iśka — odezwałam się głupio — po coś tu przyszła?“ Pan rozumie. Iśka mnie zastrzeliła tą wizytą, po takiej hecy z Narcyzem! Wprawdzie ciotka mi mówiła, że Iśka była już u nas, ale nie wierzyłam, że przyjdzie po raz drugi. Więc stałam jak głupia z otwartymi ustami, aż Iśka odsunęła mnie na bok i powiedziała: „Cóż to, nie zapraszasz dalej? Mam tu stać do sądnego dnia?“ „Ależ Iśka, ty u mnie?“ — zawołałam. „Coś ty — odparła. — Masz gości, przeszkadzam ci?“ „No nie, Iśka — powiedziałam szczerze — ale nie

mogę zrozumieć.“ Wie pan, co ta wariatka zrobiła? Po- całowała mnie w usta i powiedziała: „Jesteś wdechowa babka! Jak ja ci to mówię, to mi wierz. Bimbaj sobie ze wszystkich Narcyzów.“ Oddałam jej z zapalem usci- ciska i poszłyśmy do miesz- kania, ale miałam bardzo głupią minę, ta wariatka strasznie się śmiała ze mnie. Ciotka powitała Işkę z wylaniem, a ja byłam tak zmieszana, że powiedziałam do Marioli: „Więc poznałyście się nareszcie.“ „Znamy się przecież, nie pamiętasz?“ — odparła Iśka. Po dziesięciu minutach mówiła już na ciotkę „ciociu“, a do Marioli powiedziała: „Już nie wiem, która z was fajniejsza, ty czy Magda“. Mówiła szcze- rze, fakt, ale tylko ja jedna wiedziałam, dlaczego tak się zgrywała. Pan myśli, że wszystko się naraz wyjaśni- ło, Iśka opowiedziała, jaka

Dalszy ciąg na str. 10



The selfish Giant sat at the window and looked at his cold and white garden. He said:

— Spring is very late.

But Spring did not come, and summer did not come. Autumn gave fruit to every garden, but to the Giant's garden Autumn gave no fruit.

Autumn said:

— He is too selfish.

So it was always winter there, and the North Wind and the Snow danced round the trees.

\* \* \*

One morning the Giant was lying in bed when he heard some beautiful music. A little bird was singing near his window.

— Spring is here at last, — said the Giant, and he jumped out of bed and looked out of the window. What did he see?

He saw children in his garden. Some children were coming through a little hole in the wall. Some children were sitting in the trees. In every tree there was a little boy or a little girl. The birds were singing, and the flowers were looking up through the green grass and laughing.

But in the corner it was winter. A little boy was standing there. He was very small, and he could not get into the tree. He was walking round it and crying.

The Giant said:

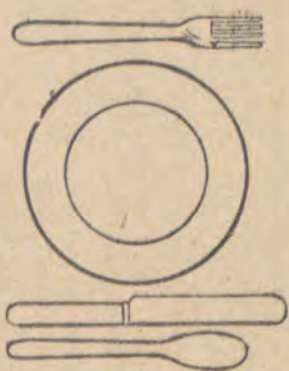
— How selfish I am. Now I know why Spring did not want to come here. I shall put that little boy in the tree, and my garden will always be the children's playground. So he opened the door and went into the garden. But

— Aber natürlich, das war nur ein Spass. Bitte hier ist Ihr silberner Löffel.

Der Mann stand auf und verliess schnell das Restaurant. Er sagte nicht einmal „Auf Wiedersehen“.

— Der Direktor des Restaurants kam und sagte zum jungen Mann:

— Mein Herr, ich danke Ihnen bestens. Wollen Sie nicht ein Gläschen Wein mit mir trinken?



when the children saw him, they all ran away, and in the garden it was winter again. Only the little boy did not run away. He was crying, and he did not see the Giant. The Giant came up behind him, took him in his hand, and put him into the tree. And the tree was green at once. Then the other children came back and with them came the Spring.

The Giant said:

— It is your garden now, little children.

#### A POLITE BOY

Andy is a polite boy. When he gets up in the morning, he says to his father and mother:

— Good morning, Father. Good morning, Mother.

His mother kisses him and says:

— Good morning, Andy.

When he meets his mother's friend in the afternoon, he says:

— Good afternoon.

When Andy wants an apple, he says:

— Please, Mother, may I have an apple?

— Yes, you may, — says his mother.

When his mother gives him an apple, he says:

— Thank you, Mother.

Then he says:

— May I go into the yard, Mother?

— Yes, you may, Andy, — says his mother.

Andy goes into the yard and plays there. When he sees his friends, he says:

#### MEINE FRAU KAUFTE EIN KLEID

Es kamen die ersten Herbsttage. Die Tage waren sehr schön. Die Sonne schien hell. Die Blätter unter den Bäumen waren gelb und braun. Die Menschen spazierten gern. Sie betrachteten die Auslagen in den Schaufenstern.

Meine Frau blieb auch vor einem Schaufenster stehen. Ich wollte weiter gehen, aber meine Frau lächelte und sagte süß:

— Mein Lieber, bleib doch stehen. Hier ist so ein schönes Kleid. Siehst du?

— Ja, ich sehe, aber...

— Wollen wir nicht hineingehen? — unterbrach mich meine Frau.

Ich wollte etwas sagen, aber meine Frau führte mich schon ins Geschäft hinein.

— Womit kann ich dienen? — fragte eine junge Verkäuferin höflich.

— Mein Mann will mir dieses schöne Kleid kaufen, — antwortete meine Frau.

— Ich, ich habe doch...

— Bitte, sprich nicht, — unterbrach mich wieder meine Ehegattin.

Die Verkäuferin brachte das Kleid und legte es auf den Ladentisch. Sie sagte zu meiner Frau:

— Bitte, gehen Sie in die Kabine und probieren Sie es an. Dort ist auch ein Spiegel.

Nach einigen Minuten kam meine Frau wieder zurück. Das Kleid war wirklich sehr schön. Meine Frau war in

#### Dalszy ciąg ze str. 9

to że mnie fajna dziewczyna, wpadłyśmy sobie wszystkie cztery w objęcia i popłakały, łatwo powiedzieć. Może by do tego doszło, gdyby Iśka wiedziała o przygodach Kostka, jak go odwoziłam do domu, rozpuściłaby wtedy swój język, wyobrażam sobie, co by mówiła, ale Iśka nie widziała się z Kostkiem. A list? pan pyta, rzeczywiście list, który przyniósł Franek, był od Kostka, na pewno były w nim pewne wyjaśnienia, które mogły mi się przydać. Co więc z listem? Nie czytałam go, wrzuciłam do śmietnika. Jednak Iśka wniosła trochę odprężenia, kiedy sobie teraz o niej pomyślę, to mi się płakać chce, co za dziewczyna. Dopiero później dowiedziałam się, że miał z nią przyjeść również Wittek, ale Iśka mu odradziła, powiedziała, że ona najpierw przebadaj grunt, nie ma pan pojęcia, jak mnie ta Iśka wzruszyła.

No więc powiadam. Iśka zachowała się koncertowo. Miała melodię do gadania. Opowiadała o naszej starej budzie, a przede wszystkim o Karoli, pan sobie przypomina tę koleżankę, która przyjaźniła się z Iśką, strasznie miła dziewczyna, krążyło o niej mnóstwo dowcipów, na przykład ta historia, kiedy Karola koniecznie chciała się przelebieć, bo miała być klasówka z matmy, więc spacerowała boso po śniegu i co pan powie, nawet kataru nie dostała. Heca była głośna, nauczyciele śmiali się z niej do łez. Więc Iśka u-myślnie wygrzebywała takie historie, o samej Karoli można było mówić pół nocy. Ciotka wypita z Iśką po jed-

nym, „Mała ryba, duża rybka, napijmy się“ — powiedziała ciotka, „No chyba“ — dodałam i podałam swój kieliszek, chciałam się rozweselić, rany, jak spojrziała na mnie ciotka. „Szefowa, jeszcze dwa dziecińne“ — po wiedziała Iśka wskazując na mnie i na Mariolę, lecz ciotka zdecydowanie odmówiła. Mimo że Iśka wniosła odprężenie, ciotka spoglądała na mnie od czasu do czasu i wzdychała. Znalłam te spojrzenia i te ciężkie oddech ciotki, nie trzeba mi było wiele tłumaczyć. No, ale Iśka zyskała tyle, że kiedy zaczęła się żegnać, ciotka powiedziała: „Odprowadź Iśkę, ale zaraz wracaj.“ Iśka wycelowowała się z Mariolą, o mało nie przewróciła ciotki, powiedziała, że było bardzo miło, i że jeżeli ciotka pozwoli, to ona będzie tu przychodzić, bo czuje, że nie będzie mogła żyć bez mnie i bez Marioli. „Nie wysilaj się, wiem, o co się rozchodzi“ — powiedziałam. Ciotka podniosła ręce do góry. Boże kochany, miałam już dość tych dramatycznych gestów.

Na ulicy Iśka wzięła mnie pod rękę, ale byłam w takim nastroju, że ledwie odpowiadałam na jej pytania. „Wiesz co, starszuszko — powiedziała — ja przyjdę do ciebie jutro, Wittek również chce się z tobą zobaczyć, musicie dokończyć tej historii z zespołem. Wittek jest tobą oczarowany, aż jestem zazdrosna, na prawdę jestem zazdrosna. Wittek powiada, że będziesz świetnym nabytkiem, ty jesteś artystką z krwi i kości, tak powiada.“ „Nie wyglądam — po co się okłamywać, to wszystko lipa.“ „Słowo daję — mówiła Iśka — Wittek koniecznie chce cię mieć w zespole.“ „Co za radość! —

krzyknęłam — hydraulicznie przyjechał, Wittek nie ma nic innego do roboty, tylko uganiać się za takimi jak ja. Mogę mu dać adres pewnego hotelu, znajdzie tam więcej takich artystek.“ „Ależ, Magda! Powiedziałam ci już, wszystko jest okej. No co, Wittek ma karetę przysłać po ciebie? Chcesz, to przysłać karetę.“ „Lepiej przestań, bo się popłacze“ — powiedziałam. „Magda, nie chcę słyszeć o niczym. Jutro się spotkamy.“ Doszliśmy z Iśką do Rzgowskiej, nadjechał autobus, Iśka pocelowowała mnie, wskoczyła na stopień i jeszcze krzyknęła: „Pa, kochanie, do jutra!“

Zostałam sama na chodniku i w tym miejscu, niech pan uważa, nastąpił, jak to Globus powiedział, węzłowy punkt dramatu. Nie rozumie pan? A więc sprawa bardzo prosta, zamiast skręcić na lewo, skręciłam na prawo. Jeszcze pan nie wie, mówię przecież, nie wróciłam do domu. Pamięta pan moją pierwszą ucieczkę z domu, kiedy byłam jeszcze dzieckiem? Więc coś podobnego teraz nastąpiło. Przyznaję, głupio zrobiłam, tylko ja się pytam, kto nie popełnia głupstw, może pan jest od tego wolny, w takim razie wiesz. Ale przyznaję się to było głupie. Sentymtalne, powiada pan? Może. Są tacy wariaci, którzy jeszcze za życia budują sobie groby, myślą o swoim pogrzebie, jak to będzie na tym pogrzebie, kto przyjdzie, kto wieniec złoży, i płaczą nad sobą. Ja byłam taką samą wariatką, nie myślałam wprawdzie o śmierci, ale rozklinałam się na samą myśl o tym, co zrobi ciotka, co powie, jak będzie rozpaczkać, że tak ostro się do mnie odzywała, przecież nie byłam winna, ciotka się z pewnością

dowie, że tej nocy odprowadziłam Kostka do domu, to będzie teatr, myślałam.

Z najbliższej budki telefonicznej zadzwoniłam do Tośka. „Czy pan doktor Tosiek?“ — zapytałam. „Słucham, jestem przy aparacie“ — głos Tośka był urzędowy, widocznie nie każdy mu kaździł tym doktorem. „Tu dzwoni Miła Jill“ — powiedziałam. „Kto dzwoni?“ — zapytał Tosiek, ale zorientował się i krzyknął — Ach, Magda, całuję rączki, jak się

cieszę, co porabiasz, jakie bogi cię skłoniły, że dzwoniś.“ „Wiesz, Tosiek — powiedziałam — żadne bogi, zgadzam się na twoją propozycję.“ „Wspaniale, fenomenalnie — Tosiek aż piał z zachwytem. — A więc kiedy się spotkamy?“ „Możemy już teraz“ — powiedziałam. „Nie, Magda, to byłoby zbyt piękne — odparł — A gdzie ty jesteś?“ „Na Rzgowskiej, w okolicy cmentarza.“ „Dobrze, niebawem tam przyjadę.“ Położyłam słuchawkę na widełki i zawołałam samą do siebie. „Co za radość!“, ale nie miałam tej radości, słowo daję, nie chcę się zresztą usprawiedliwiać. Po co się jednak łamać, co było, to było. Spacerowałam na ulicy, nie, nie myślałam wtedy o ciotce, o niczym, chodziłam tam i powrotem, nawet nie wiem kiedy nadjechał Tosiek swoim samochodem.

D. c. n.



# Nasz wywiad z ANDRZEJEM WOJCIECHOWSKIM

## O FILMACH I REPORTAŻACH TV



Andrzej Wojciechowski, absolwent łódzkiej szkoły filmowej jest obecnie kierownikiem Bazy Filmowej Zakładu Produkcji Filmów TV, instytucji produkującej filmy na zlecenie Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego oraz innych ośrodków w Polsce.

— Jaka jest współzależność praktyczna ZPFTV w stosunku do telewizji?

— Zakład jest przedsiębiorstwem samodzielnym, na własnym rozrachunku. W stosunku do TV, sięgając porównań z dziedziny budownictwa, można powiedzieć, że jesteśmy zależni w takim samym stopniu jak podwykonawca do głównego wykonawcy. Produujemy filmy, a właściwie tematy filmowe i tzw. dokrętki wyłącznie na zlecenie i według scenariuszy dostarczanych nam przez redakcję TV.

— Dlaczego nie tworzycie, albo raczej użyjcie pańskiego terminu, dlaczego produkujecie tak mało reportaży dla telewizji?

— To nie jest od nas zależne, ponieważ jak już podkreśliłem, wykonujemy tylko zlecenia redakcji, aczkolwiek musimy zaznaczyć, że kilka reportaży filmowo bardzo

dobrych na swoim sumieniu mamy.

— Ale dlaczego trafiają się również takie nudne?

— Na to pytanie trudno mi odpowiedzieć.

— Wobec tego może Pan coś powie na temat możliwości Waszej bazy w tej dziedzinie. Mam na myśli w dalszym ciągu reportaży, ponieważ ta forma dziennikarska w telewizji jest niemal niewidoczna.

— Jeśli chodzi o pierwszą część pytania, to pragnę Pana zapewnić, że możliwości produkowania reportaży posiadamy i chętnie je będziemy realizować, aczkolwiek to wcale nie jest takie łatwe. Reportaże „na żywo” wymagają bowiem olbrzymiego nakładu czasu i są kosztowne.

— No tak, teraz już wszyscy rozumiemy, ale telewizję to naprawdę nie obchodzi. Płacą miesięcznie 40 zł za abonament i mają prawo żądać dużo i dobrych reportaży telewizyjnych.

— Niewątpliwie...

— Co macie w tej chwili ciekawego na warsztacie?

— Ostatnio zrealizowaliśmy reportaż właśnie taki „na żywo” i wydaje mi się,

że z dużym powodzeniem pt. „Ludzie i renty” wg scenariusza M. Zdrojewskiego, zdjęcia operatora J. Woźniaka. Aktualnie realizujemy reportaż z życia milicji pt. „Jeden dzień milicjanta”. Ponadto, kiedy już mówimy o produkcji, zainteresuje pewnie Pana, jaka jest globalna produkcja filmowa naszej bazy? — Otóż w ciągu roku produkujemy w sumie około 30 tysięcy metrów ekranowych.

— Jak przetłumaczyć termin „metry ekranowe” na język bliższy czytelnikom pisma? Czy to w ogóle dużo czy mało?

— Wydaje mi się, że sporo. Metraż ekranowy, to metraż efektywnie emitowanej taśmy w programie TV. Zakładając, że na jedną minutę emisji przebiega około 10 m taśmy, to w prostym przeliczeniu cała produkcja Bazy Filmowej zdolna byłaby wypełnić trzy tysiące minut, czyli 50 godzin programu TV.

— Biorąc pod uwagę, że LOT emituje miesięcznie około 8 godzin programu lokalnego wynika stąd, że mógłby przez 6 miesięcy korzystać wyłącznie z materia-

łów filmowych waszej bazy?

— No, niezupełnie. Ponieważ wyliczenie, jakie wyżej przeprowadziliśmy, jest nieco abstrakcyjne. Trzeba bowiem wziąć pod uwagę, że globalna produkcja filmowa bazy rozbiła się na program ogólnopolski i lokalny. Natomiast program ogólnopolski, trzeba dalej rozłożyć na program emitowany z Łodzi i z Warszawy (np. dziennik TV).

— To istotnie dużo. Przyznam się, że trochę inaczej to sobie wyobrażałem. Jak Pan sobie wobec tego radzi z tak wielką machiną produkcyjną?

— „Machina” jest niezwykle prosta: dwa pomieszczenia, trzy szafy, ciemnia oraz pięciu ludzi w produkcji i jedna osoba w administracji. Ot, i cała „machina”!

— Na zakończenie rozmowy chciałbym się dowiedzieć gdzie jest zlokalizowana „wytwórnia”?

— Na czternastym piętrze wieżowca.

— O, to na wysokim poziomie!

Rozmawiał:

JAN GRZYMULTOWSKI

## Czy wystarczą

Wszyscy zainteresowani telewizją szkolną po zaznaczeniu się z jej planem programowym, muszą przyznać, że przedstawia się on imponująco. Na leżący rok szkolny przewidziano łącznie 119 audycji. Postęp liczbowy niewątpliwy, zwłaszcza, jeżeli przypomnimy sobie, że w pierwszym okresie eksperymentalnym telewizji szkolnej (marzec, kwiecień, maj, 1961 rok) nadano ich 38, w drugim okresie (rok szkolny 1961/62) — 88 audycji. Czego więc do licha, Kowalski marudzi? Po co się martwić na zapas i wyndawać dziurę w całym?

Ba! — gdyby wszystko było całe, ale w tym, pozorach zwartym i jednolitym programie telewizyjnego nauczania bez trudu można znaleźć luki i to luki pokazują wielkość.

Przed wszystkim, aby uniknąć grubszych nieporozumień, musimy uczynić pewne generalne zastrzeżenia: zgodzimy się, że telewizja ma być pomocą, a nie uniwersalnym rozwiązaniem wszelkich kłopotów dydaktycznych. Pomocą wszakże obliczoną nie tylko dla użytku nauczyciela, ale głównie dla młodzieży szkolnej.

— „Zadaniem jej (czyli TV) jest rozwijać słowa nauczyciela, pokazać to, o czym nauczyciel mówi, ale czego często nie jest w stanie przedemonstrować. A więc, generalnie mówiąc, nie wykład, lecz ilustracja wykładu, instrument pomagający nauczycielowi doprowadzić do świadomości uczniów rzeczywisty wygląd rzeczy i zjawisk, o których mowa w podręczniku lub o powiadaniu nauczyciela. Jednocześnie tam, gdzie jest to potrzebne, audycja telewizyjna powinna aktualizować materiał zawarty w podręczniku” — w powyższy sposób określa się charakter telewizyjnych audycji szkolnych w oficjalnym Programie Naczelnej Redakcji Programów Oświatowych.

Coś się tu nie zgadza. Ilustracja? Mój Boże, czyżby jeszcze jedna pomoc czarną martwą, czasem żywą, do złudzenia przypominającą system krótkometrażówek oświatowych? Wszak to one są typowymi ilustracjami do lekcji, a kosztują o wiele

taniej, nie wymagają badań ani opracowań takich, jakie potrzebne są Telewizji. Audycja telewizyjna dla szkoły w merytorycznych założeniach musi stanowić o wiele więcej niż zwykła ilustracja. Sądzę jednak, że lepiej ode mnie wypowiedzą się na ten temat pedagodzy.

W każdym razie, jeżeli nawet przyjmie się mało zobowiązujący termin — „ilustracja” — za podstawę planu programowego Redakcji Oświatowej, to i tak wydaje się na mocno niepełny.

Nie uwzględniono w nim języków obcych. A tymczasem każdy — rodzice czy nauczyciel — musi uznać, że nasze dzieci są w przerażającym stopniu „niemotami” obcojęzycznymi. Wychodzą ze szkół mając mgliste pojęcie o języku, którego się uczą; co w następstwie jest przyczyną tragedii na studiach. W ubiegłym roku toczyła się w prasie cała kampania, aby obywatele przestali się jąkać, narzekano się, że wstyd (bo wstyd), że trzeba szukać rozwiązań (ano, trzeba), przyszedł nowy rok szkolny, telewizja obmyśliła plan „ilustracji”, lecz bez języków — zapomniano przez skromność czy też nie mieszczą się one w kompetencjach ilustratorów?

Język polski rozwinięty został szeroko, cykle mają ładne tytuły, są potrzebne, oczekiwane. — i oczywiście trudno jest wymagać, aby zmieściły one więcej niż preselekcjonowany, elementarny materiał pomocniczy. Ale — dlaczego zupełnie wypadła z niego poezja? Wydaje się, że młodzież dużo chętniej przeczyta sobie nawet i pania Orzeszkową zamiast „Kordiana” Słowackiego czy „Kwiatów polskich” Tuwima. Poezja jest dzisiaj niezwykle modna, to prawda, lecz wśród młodych poetów, a ci, na szczęście, nie rekrutują się jeszcze z młodzieży szkolnej. Ta zaś zaniedbała nad pierwowzór romantycznego bohatera typ

w stylu niezapomnianego Zorro.

W audycjach języka polskiego brakuje najwyraźniej jakiegos systematyzowania wykładu. Cztery planowane cykle — i każdy jest z innej beczki. Owszem, konsekwentnie są ilustracyjne, ale nie ponadto, żadnej próby rozszerzenia wiedzy humanistycznej ucznia, — wszystko w sztywnych ramach, zgodnie z programem szkolnym.

Domyślam się, że w jakimś sensie funkcję lekcji

pasem, metafizyka nie będzie tu raziącą przesadą.

LOT proponuje — jeżeli się uda: matematykę i być może (jeżeli się uda) — wychowanie fizyczne. Dużo to, czy mało, he?

Eureka! — prawie że ośmieliłbym się wykrzyknąć, gdyż powyższe pozycje nie figurują w rejestrze Naczelnej Redakcji — a więc LOT pionierem?

— Jeżeli się uda, proszę państwa — jeżeli się uda...

Na usprawiedliwienie LOT

## — ILUSTRACJE I SUGESTIE?

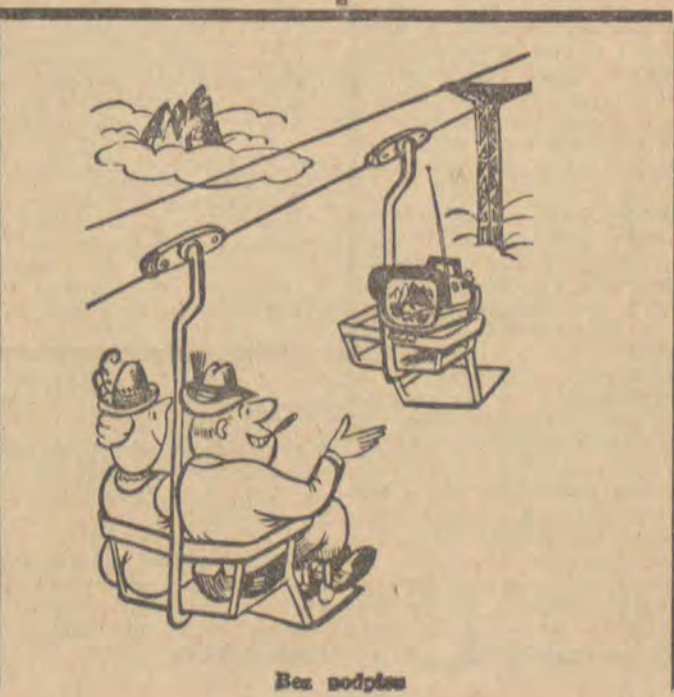
wychowawczych (obecnie skreślonych z planów lekcyjnych w szkołach) zamierza spełnić cykl „O mieście wśród ludzi”. W jakimś sensie, powiadam. W jakim? — Trudno przewidzieć, gdyż jeszcze takiej audycji nie było. Audycje telewizyjne „rozkręcają” się właśnie, albo, ładniej: „wchodzą w stadium realizacji”. Czasu dużo, dopiero miesiąc październik, do końca roku szkolnego daleko. Z tej samej przyczyny zapewne, że nikomu się nie śpieszy, na audycje umuzykalniające, wielkie novum, poczekamy aż do stycznia. Okres wakacyjnego odpoczynku przysługiwał również i Redakcji Programów Oświatowych.

Tak więc podszywka telewizji szkolnej nie zalicza się do najprzedniejszego gatunku. Poważnym mankamentem jest poza tym brak zsynchronizowania audycji telewizyjnych z bieżącym programem szkolnym. Wszelkie razem sprawia wrażenie sprzedanego garnituru, w którym zapomniano o jakiejś istotnych wykończeniach. Lecz — dlaczego?

Pytanie, niby konkretne, a jednak enigmatyczne. A chociaż może wskazać się wyrażnym adresem, pozostaje bezadresowe: za wysokie progi na nasze nogi, ta Naczelna Redakcja Oświatowa. Istnieją wprawdzie niższe i bliższe, co, jeżeli i one nie posiadają bliżej sprecyzowanego planu działania. W LOT coś tam gdzieś dzwoni, tylko nie wiadomo gdzie. Dzwonienie jak dotąd nie wyszło poza sferę sugestii, a ta dosyć często zahacza o metafizykę. Biorąc pod uwagę, że już ten październik za

należy dodać, że program audycji szkolnych załatwiono ogólnie — jednak trudno pogodzić się z mało obciążającym trybem warunkowym. Jakże miło byłoby usłyszeć radosny, oznajmiający. I chociaż, sugestie LOT wydają się raczej mało ambitne, to zawsze coś by to już było, ta matematyka i wychowanie fizyczne. (Dlaczego właśnie wychowanie fizyczne, jeżeli brakuje innych elementarnych pozycji w programie telewizji szkolnych, dla mnie pozostanie tajemnicą. Ale, rzeczywistość, — i co ja się będę martwić na zapas? No, bo czy się w ogóle coś uda, proszę państwa? I kiedy?!

KOWALSKI



Bez podpisu

## Listy czytelników

## CO O TYM SĄDZICIE?

W ostatnią uroczą niedzielę września br. miałem okazję obejrzeć w programie Telewizji (Łódź 100) o godz. 13.35 magazyn pt. „W środku Polski”. Treść tej audycji nasuwała mi wiele uwag odnośnie kilku zdań o Poddebieszach, które jak wiadomo Panu Redaktorowi, w dnach 15 i 16 września br. obchodzili swój jubileusz — pięćsetlecie istnienia.

Nie mam żadnych zarzutów pod adresem realizatorów wspomnianego programu Telewizji Łódzkiej, lecz do tych, którzy podali błędne informacje autorom audycji „magazynu”. Nasza czeladźna muza Kłopot ma swoją rezydencję od wieków także w Poddebieszach była nieco naruszona i przesunięta w nieodpowiednie miejsce. Podano w audycji, że poddebieski pałac rozbudowali Poddebiescy. Jest to nieprawda. Poddebiescy zamieszkali obecną siedzibę powiatu do końca XVI w., a pałac był dopiero zbudowany w latach 1610-17 przez Z. Grudzińskiego.

Jeszcze dużo większe zdziwienie wywołało we mnie to, gdy na ekranie ujrzałem młodzieńca Liceum Ogólnokształcącego im. M. Konopnickiej w sąsiedztwie Poddebieskiego Klubu ZMS „Puchatek”. Otóż znam kulisy tej sprawy, wiem w jaki sposób operator trafił na tak licznie i doborowo zebrane młodzież towarzysztwo. Nasunęły mi się pytania: Dlaczego nie pokazano większości stałych bywalców Klubu i tego w jakie gry najchętniej się zabawiają?

Czy rzeczywiście młodzież Liceum jest „dużą” klubową, a jeżeli tak, to jaką?

Być może że mogłaby nią być, ale na razie nią nie jest, bo... zabronione jest tam bywać. Tak wygląda rzeczywistość.

Licealiści mogą uczestniczyć na odczyty, a poza tym czynnego udziału w pracach klubu nie mogą brać. Może to nawet jest i dobrze, że szkoła nie pozwala burzyć swojego prymatu w organizowaniu rozrywek (bardzo skupych) młodzieży. Niech już tak będzie jak jest, nie po co telewizorów i siebie samych okłamywać? Właśnie to „skurcz” nie było akurat, bowiem było z góry umówione, że na godz. trzynastą w dniu 20 bm. ma być grzecznie sprowadzona młodzież przed kamery telewizyjne. No i co zrobiono? Władom, nie zwrócono się do tych, którzy ciągle bywają (za tylko ma wyjątkami), a do Liceum. W dodatku pokazano młodzież przy bilardzie, szachach, warcabach, a nie przy kartach (wylaczam brydla), które prawie nie schodzą w klubie ze stołków...

Podano następnie najbardziej fałszywą przesłankę, że wystawę w Kaplicy pałacowej, poświęconą przeszłości Poddebiesza, zorganizowała młodzież ZMS i że ta organizacja polityczna ją finansowała. Powiedzmy sobie szczerą prawdę.

Andrzej Duda (sekretarz KP ZMS) przywiózł wraz z autorem tego listu z Łodzi ekspozycję na wystawę. O resztę ekspozycji, wygląd estetyczny i urządzenie wystawy troszczył się niżej podpisany, który, zaznaczam, nie jest, ani też nie był członkiem ZMS. Sprawa finansowa zajęły się wyłącznie Wydział Gosp. Kom. Przem. i Wydział Kultury i Oświaty Przem. PRN, a poza tym, jak to się mówi, efekt w tej sprawie palca nie wetknął. I po co. Ponie Redaktorze, tak chwalił się poddebieski ZMS przed całą Polską?

Przypuszczam, że takie wyprawki nie tylko zdarzają się z Poddebieszami, ale też i chybą z innymi miejscowościami. Dlatego też uprzejmie proszę o zamieszczenie powyższego listu na łamach Pańskiego tygodnika.

Łączę wyrazy należnego pozdrowienia

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

Poddebice, dn. 1. X. 1962 r.

odgłosy str. 11

# Odgłosy

## tygodnia

## PYSKÓWKA

### z powodu PYSKÓWEK

Dalszy ciąg  
ze str. 1

## O TYCH, CO NIE ŚPIĄ...

abyśmy mogli spać spokojnie. Mowa oczywiście o milicjantach. Właśnie obchodzili swoje święto. Do licznych wyrazów społecznego uznania, z jakimi spotkali się z okazji, dołączają się i „Odgłosy tygodnia”. Czynią to w poniższym kontekście spraw czarnych. Sztych to niezbyt uroczysty, ale też nasi fetowani nie z aniołkami mają do czynienia.

♦ Efekty działalności i doskonalenia się milicji łódzkiej (i nie tylko łódzkiej) widać najlepiej w szerszej perspektywie spadku przestępczości. W roku 1961 notowano w Łodzi o 6,4% mniej przestępstw niż w r. 1960. W pierwszej połowie br. w stosunku do analogicznego okresu ub. r. wskazał spadek był prawie dwukrotnie wyższy (12,4%).

♦ Spadkowi ilości przestępstw towarzyszy wzrost ich wykrywalności. Na przykład w zakresie przestępstw kryminalnych wzrost ten w stosunku do pierwszej połowy ubiegłego roku wyniósł w tym roku 6,5 proc.

♦ W pierwszej połowie br. zanotowano 9 zabójstw, czyli o 6 więcej niż w analogicznym okresie roku ubiegłego. Opinia publiczna była tym bardzo zaniepokojona. Ale były to morderstwa nieklasyczne, nie na tle rabunkowym. Popelniono je z pobudek tego rodzaju, że MO nie miała możliwości uchronienia przed nimi. 5 z tegorocznych zabójstw dokonano na tle nieporozumień rodzinnych. 1 na tle alkoholizmu, 1 na tle seksualnym, ofiarą jednego był noworodek. W jednym tylko przypadku Magdy Sobczak sprawca nie został dotąd wykryty.

♦ Maleje ilość napadów rabunkowych, niewątpliwie dzięki wzrostowi operatywności MO. Oznaką wypierania bandytyzmu z naszego życia, jest to, że bandyci wahają się używać dla swego procederu niebezpiecznych narzędzi. Większość rozbojów i rabunków dokonują metodami bezkrwawymi. W gwarze przestępczej metody te nazywają się „na trupka” i „na jelenia”. W pierwszym wypadku chodzi o rabunek popelniany na osobach pijanych do nieprzytomności, w drugim — o podstępne rozpijanie i wabienie „nadzianych” gości przez dziewczęta będące w zмовie z szajką rabusiów. W obu metodach celuje, niestety, młody narybek przestępczy.

♦ Młoda jest również, niestety „kadra” włamywaczy, operująca w komórkach, sklepach i kioskach. I w tej dziedzinie nastąpił znaczny wzrost wykrywalności, a także spadek ilości.

♦ Profilaktyka sprawia zmniejszanie się kradzieży. Było ich w pierwszym półroczu br. o 26 proc. mniej niż w analogicznym okresie 1961 r. Przetrzebiono znacznie kieszonek, żerujących w ścisłości i ciasnocie środków komunikacyjnych. Wzrosła wraz z ilością pojazdów liczba złodziei samochodów i motocykli. W pierwszym półroczu br. skradziono z miejsc parkowania bądź garażowania 11 samochodów i 53 motocykle. Sprawcami okazali się również młodzi ludzie, łaknący zmotoryzowanej przygody. Wszystkie skradzione w Łodzi samochody funkcjonariusze MO odnaleźli i zwrócili prawowitym właścicielom. Odzyskało swoje „rumaki” 42 motocyklistów.

♦ Jeszcze niedawno zmrą w życiu naszego miasta były bandy chuligańskie, operujące przed kinami i lokalami gastronomicznymi. Dzięki racjonalnemu rozmieszczeniu służby mundurowej MO i członków ORMO, dzięki pomocy społeczeństwa a także zastosowaniu ustawy o przyspieszonym trybie postępowania w sprawach chuligańskich zjawisko to zanika. Dla dalszego wzmocnienia ochrony społeczeństwa przed elementami chuligańskimi kierownictwo łódzkiej MO wspólnie z Wydziałem Spraw Wewnętrznych Prez. RN postuluje przedłużenie okresu obowiązywania przyspieszonego trybu postępowania w tych sprawach przed kolegiami karno-administracyjnymi.

♦ I z doświadczeń Pogotowia Milicyjnego wynika, że patologia życia przenosiła się z ulicy i miejsc publicznych do warunków bardziej kameralnych, to znaczy do mieszkań. Pogotowie Milicyjne interweniowało w ciągu pierwszych miesięcy tego roku 15.711 razy. Z tego w przypadkach zakłócenia spokoju publicznego w lokalach i na ulicy 3.743 razy, a w awanturach rodzinnych 6.654 razy.

♦ Pewien postęp osiągnęli ludzie MO w wykrywaniu przywłaszczeń mienia państwowego, łapownictwa, oszustw i fałszowania dokumentów. Odzyskano i zabezpieczono 62,9 proc. zagrabionego mienia społecznego, co stanowi 17-procentowy wzrost w tej mierze w porównaniu z rokiem ubiegłym. Praca organów MO w tej dziedzinie jest coraz bardziej precyzyjna i misterna. Maluczek, a żaden kombinator się nie wywinie. Tym bardziej, że MO kładzie i tu duży nacisk na profilaktykę, zwracając uwagę na niewłaściwe oparkowanie obiektów, słabe zabezpieczenie okien, złe oświetlenie, wadliwy system przepustkowy itp.

♦ Zasluga funkcjonariuszy MO jest polepszenie stanu bezpieczeństwa na drogach mimo żywiołowego wzrostu motoryzacji. Służba ruchu stosuje nie tylko metody represyjne, ale duży nacisk kładzie na wychowanie. Wystarczy powiedzieć, że 25 proc. młodzieży uczy się przepisów o ruchu drogowym. Z licznych obserwacji i analiz, jakie się prowadzi, wynika, że 40 proc. wypadków powodują kierowcy z amatorskimi „prawami jazdy”, co wystawia złe świadec-

stwo nie tylko ich posiadaczom, ale również mówi o jakimś liberalizmie przy tzw. egzaminach państwowych.

♦ O wroście autorytetu ludzi z MO świadczy systematyczny spadek skarg i zażaleń na styl ich pracy, zmniejszanie się ilości skarg zasadnych, a także liczba pochwał ze strony obywateli.

♦ Wiąż z ludnością, współpraca z komitetami blokowymi, powierzenie np. dzielnicowym spraw czasami bardzo intymnych i osobistych — potwierdzają, jak bardzo ci, co nie śpią, abyśmy mogli spać spokojnie, zasługują na miano Milicji Obywatelskiej.

## Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów”



Fot. W. Stachlewski

## POGODA SIĘ POGARSZA

Od trzech lat z rzędu o gólnym temacie rozmów jest pogoda — kapryśna, platająca nam figle. Szadzi się powszechnie, że pogoda stale się pogarsza. Co na to statystyki? Mamy przed sobą wszelką mądrość, zawartą w wydawnictwie: „Sta-

tystyka m. Łodzi. Zeszyt 3. Meteorologia 1946—1961”. Nie szukajmy porównań z odległymi latami. Weźmy za podstawę rok 1959, rok mniej więcej pogodny.

Otóż średnia temperatura w ostatnich dwóch latach była nieznacznie niższa. Je-

żeli jednak lipiec 1959 miał średnią temperaturę 20,6 stopnia, to w następnych latach tylko 15,9 oraz 15,3. Wszakże w r. 1959 pierwsze wstępne przymrozki wystąpiły już we wrześniu, zaś w następnych latach — dopiero w listopadzie. Zatem lato nam się ochładza i wyraźnie rozciąga w czasie, co potwierdza również tegoroczna piękna pogoda w październiku.

Rok 1959 miał najniższą od 15 lat ilość opadów. Za to 2 następne lata oddały nam z nawiązką „wyskakując” od razu ponad wszelkie rekordy poprzedniego 15-lecia. Szczególnie tragiczny okazał się lipiec, gdzie z reguły opady nie wynoszą więcej niż 100 milimetrów. Tymczasem lipiec 1960 — 184 mm, lipiec 1961 — 160 mm. Mieliśmy również mniej niż w 1959 r. ilość dni pogodnych (38—29—34) zaś wzrastającą ilość dni pochmurnych (131—154—149).

Oczywiście, trudno na podstawie danych stwierdzić autorytatywnie, że pogoda stale się pogarsza. Mieliśmy w latach dawnych prawdziwe kataklizmy, jak na przykład najniższą w roku 1947 średnią temperaturę w okresie całego piętnastoletnia, najwięcej dni deszczowych w roku 1952, aż 258 mm opadów w lipcu 1957, itd.

Jakaś wszakże swoją wymowę mają dane z ostatnich 2 lat, szczególnie w zestawieniu z własnymi doświadczeniami z trzech rzędu minionych urlopów. Brr!

SCEPTYK

praktyka funkcjonowania SKP, możemy chlubić się, a właśnie w Łodzi wynaleźliśmy nowe antidotum na pieknictwo.

Wolno też mniemać, że nadchodzi zmierzch pyskówki, a także pyskowania na ich temat. Korzystając z okazji w tej mierze, Sceptyk musi wrzucić jeszcze kamyczek do cudzego ogródka, bo inaczej nie byłby sobą. Otóż szeroko problematyka społecznych komisji pojednawczych zajął się ostatnio na łamach „Pracy i Życia” pan Tadeusz Jackowski. No, „zajął się”, to żuj wiele powiedziane. Powiedzmy, że opowiedział wspomniany tu regulamin. Będzie łodziannem, uczynił to z iście metropolitalnym wyrazem. „Prasa stołeczna” („Trybuna Ludu” z 24. 7. br.) doniosła z Łodzi o powołaniu tam... itd. To, że pan Jackowski nie czyta wychodzących tam (to znaczy w Łodzi) gazet, to jego sprawa. Ale że autorstwo inicjatywy i regulaminu przypisuje nie rzeczywistemu autorowi, to już „nie tak” i „nie tak”. Co rzekłszy pragnę zapewnić, że nikt z tego powodu do społecznej komisji pojednawczej się nie wybiera.

two nie tylko ich posiadaczom, ale również mówi o jakimś liberalizmie przy tzw. egzaminach państwowych.

♦ O wroście autorytetu ludzi z MO świadczy systematyczny spadek skarg i zażaleń na styl ich pracy, zmniejszanie się ilości skarg zasadnych, a także liczba pochwał ze strony obywateli.

♦ Wiąż z ludnością, współpraca z komitetami blokowymi, powierzenie np. dzielnicowym spraw czasami bardzo intymnych i osobistych — potwierdzają, jak bardzo ci, co nie śpią, abyśmy mogli spać spokojnie, zasługują na miano Milicji Obywatelskiej.

Redaguje Zespół • Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” • Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 95. Tel. 244-79 • Warunki prenumeraty: miesięcznie 2 zł, kwartalnie 6 zł 12.— • Redakcja nie zamawia rekonesansów nie zwraca • Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PTPiK „Ruch” — z zastrzeżeniem na „Odgłosy” • Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Żwirki 17 • Zam. 2020, X. 62, A-4